



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET

ROK 1924. WARSZAWA, 9 SIERPNIA

CENA NUMERU 1 zł. 20 gr.

TREŚĆ NUMERU:

Zakaz amerykański—*Jan Szymański*. Garda (dokończenie)—*Marja Jehanne hr. Wielopolska*. Iwo de Joannis—*Zofja B.* Rozmyślenia wakacyjne (c. d.)—*K. S.* Ballady—*Juljan Ejsmond*. Soliloquia—*Marja Gr.-K.* Drogami duszy (powieść) c. d.—*Helena Ceysingerówna*. Emil Verhaeren (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka*. Szukający pocieszenia (nowela) dokończenie—*Marja Dąbrowska*. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.)—*K. Bielańska*. Cel i zadania pedagogii (c. d.)—*Emilia Tecka*. Kobieta kraju Wschodzącego Słońca—*Kazimierz Rogala-Kosiński*. Z naszych uzdrowisk—*M. C. Przew.* Kobieta w świetle i w domu—*Z. B.* Kronika mody—*Hrabina Annie* Wskazówki praktyczne. (c. d.)—*Pani Elżbieta*. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i jej niemieckiego ogrodu”. Dodatek robót i ubiorów.

ZAKAZ AMERYKAŃSKI

Słynny zakaz amerykański, o którym tak opacznie u nas panują pojęcia — nie jest jakimś „humbugiem”, ale jest wielką, wspaniałą reformą społeczną, mającą kolosalne znaczenie pod względem zmiany stosunków moralnych, zdrowotnych i ekonomicznych.

Wobec ogromu ludności, której dotyczy ten zakaz i olbrzymiej rozległości terenu, na którym on obowiązuje, wobec dalej tego, że reformę tę przeprowadził naród, przodujący innym w niejednej dziedzinie twórczości ludzkiej, naród, tworzący jedno z najpotężniejszych państw—reforma ta nabiera znaczenia wszechświatowego.

Całkowity zakaz wyrobu i sprzedaży wszystkich napojów alkoholowych nie zjawiał się w Stanach Zjednoczonych A. P. niespodzianie, ale został poprzedzony przez wielką pracę przygotowawczą, toczącą się przez szereg dziesięcioleci.

Na początku swej niepodległości Stany Zjednoczone słynęły z pijaństwa, ale też odrazu rozpoczęła się tam walka z tą klęską. I już na początku wieku XIX niektóre Stany (Ohio, Michigan) uchwalają surowe prawa przeciwalkoholowe. W r. 1851 zostało wprowadzone w Stanie Main po raz pierwszy prawo zakazu wyrobu i sprzedaży napojów alkoholowych. Alkohol mógł być sprzedawany tylko we właściwym miejscu—t. j. w aptekach. Za przekroczenie przepisów ustawy przewidziano kary surowe: więzienie do 2 miesięcy i grzywna do 1000 dolarów. Nawet człowiek, który się upił we własnym domu, podlegał karze grzywny i aresztu do 30 dni. Za przykładem Stanu Main poszły inne Stany (Kansas, Północna Dakota i t. d.). Stany, posiadające prawo zakazu, nazywały się „suchymi”, inne były „mokre”; w r. 1914 Stanów suchych było 14. Obok prawodawstwa prohibicyjnego rozwinęła się w Sta-

nach t. zw. opcja lokalna czyli prawo gmin do uchwalenia na swem terytorjum zakazu.

Ustawodawstwo przeciwalkoholowe poprzedziły w Ameryce: propaganda stowarzyszeń przeciwalkoholowych i nauczanie w szkołach o szkodliwości używania napojów alkoholowych (jako przedmiot obowiązkowy we wszystkich szkołach). W ten sposób ogół obywateli został uświadomiony i przygotowany do przyjęcia wielkiej reformy. Ogromny wpływ na cały pomyślny przebieg akcji przeciwalkoholowej miały organizacje kobiece, rozwijając niesłychanie intensywną działalność.

Z chwilą wybuchu wojny w r. 1917 zostały na całym obszarze Stanów wprowadzone pewne ograniczenia, a następnie od 1 lipca 1919 zakaz, który miał obowiązywać aż do ukończenia demobilizacji. Jednakże wola ludności poszła dalej i po przeprowadzeniu głosowania w ciałach ustawo-

dawczych wszystkich Stanów, 45 Stanów oświadczyło się za wprowadzeniem prawa prohibicyjnego na stałe, a tylko 3 przeciw. W ten sposób prohibicja stała się prawem ogólnopństwowem, a przepis prawny o niej stał się 18 dodatkowym artykułem Konstytucji Unji. Prawo zaczęło obowiązywać od dn. 16 stycznia 1920 r.

O rezultatach tego prawa mamy naogół bardzo niejasne pojęcie, gdyż, niestety, prasa codzienna bezkrytycznie zamieszcza często notatki, pochodzące ze źródeł, wysoce niepewnych, rozsiewane w Europie przez agentów wielkiego kapitału alkoholowego.

Tem więc większego znaczenia nabierają wszelkie dane, oparte na niewątpliwym materiale statystycznym, dotyczącym skutków prohibicji oraz na badaniach i obserwacji bezstronnej.

Oto przedewszystkiem wrażenie specjalnego korespondenta angielskiego czasopisma „Cooperative News” z r. 1921:

„Oglądałem się bardzo uważnie po ulicach N-Jorku i innych miast we wszystkich porach dnia i nocy w ciągu mego dwumiesięcznego pobytu w Ameryce i zauważyłem raz jeden trzech marynarzy z zaproszoną głową, prócz tego dwóch cywilów wyglądało mi na to, że musieli zdobyć gdzieś trochę cennego likworu... Bez wątpienia pewna ilość zabronionego napoju przechodzi z rąk do rąk... Nie ma wątpliwości, że ukryte składy „cieknących baryłek” są znane tym, którzy ryzykują karę i chcą płacić fantastyczne ceny za dostęp do nich, ale niema najmniejszej wątpliwości, że Ameryka jest znacznie więcej trzeźwa wskutek zakazu i że staje się zdrowszą i sprawniejszą... Znajomi moi, prowadzący pracę społeczną w zaułkach N-Jorku, zapewniali, że jeśli chodzi o życie moralne tych zaułków, to podniosło się ono w sposób widoczny. To, co widziałem, w zupełności potwierdza to zdanie, nawet wzięwszy pod uwagę ujemne strony zakazu i irytację ludzi, którzy nie mogą wypić swej szklaneczki piwa—zamknięcie szynków na rogach ulic i usunięcie stałej pokusy dla ludzi słabego charakteru, okazuje się ogromnem błogosławieństwem... Wszystko, co mogę powiedzieć, oto to, że, wyjeżdżając do Ameryki, byłem zasadniczym przeciwnikiem zakazu—wracam przekonany, że uzyskał on bezwzględne powodzenie”.

W pracy p. Marty Küppersbusch p. t. „Das Alkoholverbot in Amerika”, Monachjum—Lipsk 1923, str. 223*) znajdujemy potwierdzenie statystyczne powyższych obserwacji korespondenta angielskiego.

W dwóch największych szpitalach N-Jorku liczba przyjęć wypadków alkoholowych przedstawiała się następująco:

r. 1917 —	7.587
r. 1918 —	3.469
r. 1919 —	2.947
r. 1920 —	2.742
r. 1921 —	3.066

Chroniczny albo ostry alkoholizm, jako przyczyna śmierci, wynosił w latach 1916—1917 w 14 wielkich miastach Stanów przeciętnie 124.5 wypadków, w czasie prohibicji (1920—21) —26 wypadków, a więc spadek wynosi blisko 79%.

W stanie Massachusetts śmiertelność niemowląt rocznie w okresie 1912—1918 wynosiła przeciętnie—2061, w okresie lat 1920—21 rocznie 1730, a więc spadek wyniósł 16%.

Przegląd przyjęć psychicznie chorych wskutek alkoholizmu w państwowych zakładach N-Jorku w ciągu lat 10 wykazuje następujący stan rzeczy: z ogólnej liczby chorych wynosiły:

rok	psychozy alkoholowe	psychozy morfinowe
1909	10,8%	0,5%
1910	10,5 „	0,4 „
1911	10,4 „	0,4 „
1912	9,8 „	0,3 „
1913	9,4 „	0,3 „
1914	7,4 „	0,6 „
1915	5,6 „	0,4 „
1916	6,1 „	0,3 „
1917	8,6 „ wojna	0,1 „
1918	5,2 „	0,3 „
1919	4,0 „	0,2 „
1920	1,9 „ zakaz	0,2 „

W Stanie Massachusetts w zakładach dla psychicznie chorych liczba psychoz alkoholowych wynosiła przeciętnie rocznie między 1912—1918 r.

*) Praca ta ma się ukazać niebawem w polskim przekładzie. Doc. dr. Rafał Radziwiłłowicz podał kilka wyciągów z tej pracy w swej broszurce p. t. „Zakaz alkoholu w Ameryce”—Warszawa, 1923, księgarnia Szylinga.

wypadków 340, zaś 1920—1921 wypadków 126.

W związku z wprowadzeniem prohibicji znacznie zmniejszyła się liczba wypadków śmierci wskutek gruźlicy. W Cincinnati liczba ta w roku 1910 wynosiła 1025 wypadków, w 1920 tylko 756! (Nie wyrzucając pieniędzy na alkohol—ludność może lepiej się odżywiać i mieć lepsze mieszkanie).

Alkoholizm jest jedną z głównych przyczyn rozpowszechnienia się chorób wenerycznych (od 30 do 80%). Prohibicja zmniejsza tę straszną klęskę: w latach 1918/19 w mieście Bostonie i stanie Massachusetts liczba zachorowań na syfilis wynosiła: 17.944, w latach 1920/21 było takich zachorowań 13.442.

Wydawnictwo statystyczne „New York City under Prohibition” przynosi następujące dane:

W N-Jorku w przychodnich w latach 1913—1918 leczono średnio 6530 alkoholików; w latach 1920—22 leczono 4611, t. j. liczba leczonych spadła o 29%. Gruźlica, jako przyczyna śmierci w N-Jorku między latami 1910—1917, wynosiła na 100.000 ludności 158 wypadków, w r. 1920 spadła do 109, a w r. 1922 do 86*).

Liczba psychoz na podłożu alkoholowym wynosiła w N-Jorku średnio w latach 1909/1919—412, w latach 1920/22 spadła na 180.

Zatrzymani zostali za pijaństwo w N-Jorku w latach 1910/18 przeciętnie rocznie 18.373, a w l. 1920/22—6.917, czyli spadek 62%.

Stwierdzono dalej w całych Stanach ogromny spadek zachorowań na marskość wątroby, mianowicie o 53% (choroba specyficzna dla alkoholików). Pod względem społecznym: zmniejszyła się liczba lombardów o 45%, liczba dzieci opuszczonych spadła o 15%, bezdomnych o 50%, liczba więzień, całkowicie opustoszałych wynosi 20%.

Liczyby podobne możnaby mnożyć niemal w nieskończoność—dowodzą one wszystkie zgodnie, że prohibicja wydała rezultaty bardzo pomyslnie. Niezmiernie ciekawem pod tym względem jest sprawozdanie Izby

*) O łączności między alkoholizmem, a gruźlicą patrz pracę prof. dr. Szmurły: „Alkoholizm a gruźlica” w czasopiśmie „Walka z alkoholizmem” r. 1921.

handlowej angielskiej w Stanach, złożone izbie handlowej w Manchesterze:

„Ze wszystkich większych środowisk fabrycznych napływają sprawozdania, stwierdzające podniesienie wydajności pracy; niezjawianie się do roboty wyraźnie stało się rzadsze, a robotnicy akordowi pracują dłużej. Wogóle można zauważyć większą sprawność i większy porządek w ogniskach pracy. Zmniejszyła się liczba nieszczęśliwych wypadków, i nastrój między robotnikami panuje lepszy. Przekonywującego dowodu pod tym względem dostarczają strajki, przebiegające w ostatnich czasach w zupełnym porządku, a rokowania pomiędzy pracodawcami a pracownikami przebiegają w sposób znacznie bardziej pokojowy, niż poprzednio. Nima już w grze szkodliwego czynnika. W całym kraju można stwierdzić zwiększenie zakupów w sklepach, wzmoczenie zdolności płatniczej i poprawę w dokonywaniu spłat długów. W okręgach przemysłowych kasy oszczędności wykazują wzrost wkładów i zmniejszenie ich podejmowania.

Zakaz wywołał nawet pewne korzyści pośrednie, wyrażające się w poprawie stosunków społecznych w wielu dzielnicach wielkomiejskich, które cieszyły się poprzednio złą opinią“.

Ten głos angielskiej Izby handlowej jest niezwykle znamienity.

Jakie były pobudki i cele zakazu, pozbawiającego skarb Stanów ogromnego dochodu z alkoholu? Wielka demokracja Nowego Świata dąży do wytworzenia u siebie takiej rasy ludzkiej, któraby wśród innych narodów zajęła stanowisko przodujące. Armia Stanów na polach bitew w Europie była uzbrojona nie tylko w najnowsze zdobycze techniki, ale wyróżniała się też swą sprawnością cielesną i du-

chową. Jednym z głównych, zasadniczych warunków poprawy rasy jest usunięcie potężnego czynnika degeneracyjnego, jakim jest alkohol.

Skoordynowane wysiłki społeczeństwa i rządu doprowadziły do zakazu: „Trzeźwa Ameryka stanie się najniebezpieczniejszym współzawodnikiem rynkowym; w przyszłości przed innymi narodami stanie pytanie: trzeźwość czy gospodarcza ruina?” Tak zadania prohibicji określił słynny Edison. Senator Jones w mowie, wygłoszonej w końcu 1921 r., oświadczył: „Stany Zjednoczone wytworzą rasę, wolną od przekleństw trucizny alkoholowej, staniemy się największą potęgą finansową między narodami, ponieważ zachowamy dla siebie to, co inne narody trwonią na napoje alkoholowe. Zakaz zrobi ze Stanów największą potęgę pieniężną, polityczną i moralną świata”.



Szczytne marzenie! To też musimy się zgodzić ze zdaniem Lloyd George'a, że z podziwem i uznaniem należy się patrzeć na naród amerykański, gdy usiłuje on uwolnić się od jednej z największych klęsk ludzkości... A u nas?... od 5 lat uchwalona skromna ustawa przeciwalkoholowa—nie jest wykonywana, od 5 lat ciągnie się walka o nią, o jej istnienie!...

„Niechaj każdy Amerykanin zahartuje się przeciw zniewieszczeniu, niechaj ma do niego odrazę, jak przeciw narkotykom!” Tak mówi Ford, człowiek czynu*).

„Nie myślcie, że zagadnienia dzisiejsze są tylko zagadnieniami polityki i dyplomacji. Są one przesiąknięte nawskroś pierwiastkami życia. Nie wolno nam odchodzić od zasady, że moralność, a nie wzgląd na korzyści materialne, jest tem, co nas winno prowadzić”.

Tak mówi Woodrow Wilson, człowiek ideału**).

A u nas?... U nas w Rzeczypospolitej „odrodzonej”, „demokratycznej” nie chce się iść w ślady swej wielkiej siostrzycy i brać udziału w poprawie rasy ludzkiej, nie wzywa się do odrazy do narkotyków, nie wskazuje wielkich, ogólnoludzkich ideałów, ale sięga się do błota nałogów... po złoto i, idąc za wzorem strupieszalej, zbankrutowanej Rosji carskiej, wprowadza się monopol spirytusowy! Co za straszny i bolesny kontrast...

Jan Szymański.

*) Ford: „Moje życie i dzieło“.

**) Wilson: „Kształtowanie losów świata“.

MARJA JEHANNE HR. (WIEŁOPOLSKA).

G A R D A

(D o k o Ń c z e n i e)

Trzeba było kres położyć siebie Marata. Ludzie jednak truchleli i nikt nie śmiał podnieść ręki na najgroźniejszego z żyjących podówczas ludzi.

13 lipca 1793 roku młoda i piękna panna zapukała do jego mieszkania. Szalik miała różowy, skrzyżowany kunsztownie na dekoltażu i wachlarz w prawem ręku. Siadła swobodnie przy leżącym w wannie Maracie i spokojnie odpowiadała na jego pytania. Tylko wachlarz powoli się przesunął z ręki prawej do lewej — mały, także różowy, paniński wachlarz, a ręka prawa poprawiała w rozfar-gnieniu niesforny szalik, skrzyżowany na dekoltażu.

Nagle targnęła się ta ręka zwa-wiej i spadła oślepiającą błyskawicą na pierś mężczyzny.

Któżby pomyślał, że pod szalikiem różowym czaiła się śmierć: krótki, ostry nóż, oto teraz dygocący w zamierającej piersi Marata?!

Kiedy ją w sądzie spytano, czy myśl zamordowania Marata nie została jej przez kogoś podsunęta, potrząsała głową ironicznie.

— Chyba nie, bo czyn spełniony za czyjąś inicjatywą, nie może być spełniony tak dobrze i tak dokładnie...

A kiedy jej adwokat w mowie obrończej, odrzucił wszelką banalność

(Odczyt, wygłoszony w czerwcu 1914 r. w sali Towarzystwa Geograficznego w Krakowie).

wykazywania jej bezwiny lub niepo-czytalności i poniżające proślenie o łaskę — Charlotta wyciągnęła doń rękę i głośno podziękowała za uszanowanie jej godności. Ani na chwilę nie oblała się jej twarz łuną przerażenia, niepokoju lub bladeością. Dopiero, gdy kat podniósł brutalnie jej śliczną, ściętą martwą głowę i wymierzył jej wobec tłumów bestyalski policzek—zarumieniła się marmurowa, spokojna twarz. Jest to jedyny historyczny, zdaje się, rumieniec...

Garda stała się wtedy klingą, nie poraż pierwszy i nie poraż ostatni. Panowie biografowie wyszukiwali Charlocie kochanków bez liku, za których

ścięte głowy jakoby postanowiła zgładzić Marata. Szukano par force aktu osobistej zemsty w akcie politycznego, doraźnego wymiaru sprawiedliwości.

Za smugą jej czarującej, niezwyklej postaci, niejedno uczucie męskie biegło — to pewnie! Znalaziono jej przyjazne listy w grobie jakiegoś Franquelina, który się z nimi pochować kazał... Obłądną, śmiertelną miłością rozgorzał dla niej Adam Lux, zaraz przy pierwszym i ostatnim z nią spotkaniu (a spotkał ją idącą na... szafot). Zapłacił śmiercią tę miłość chorą. Gilotyna ścięła mu zapalczywy łeb...

Zofię Perowską posądzano również, iż miłość do Żelabowa uczyniła z niej carobójczynię.

Możliwe, że, ponieważ historię pisał mężczyzna, więc w każdym bohaterstwie szukał swego pośredniego przynajmniej udziału...

Żelabowa, inicjatora zamachu na cara Alexandra II, przyaresztowano, jak wiadomo, przed samym wykonaniem tegoż zamachu o zgoła inną sprawkę, nie wiedząc, że on jest tym tyle poszukiwanym Żelabowem. Resztę spiskowców schwytano po dokonanym atentacie, oprócz właśnie hrabianki Perowskiej, która umiała zczekać w oczach policji, jak duch. Kiedy się jednak dowiedziała, że Żelabow przyłączył się dobrowolnie do procesu carobójców, bo inaczej, jak rzekł: „proces by wypadł za blado” — zgłosiła się i ona dobrowolnie, jako główna z Żelabowem wykonawczyni zamachu, kładąc się krwawą pieczęcią na rozgłosnym czynie, dokonanym z mocy partji potężnej.

Ona również, jak Charlotta Corday, przyjęła spokojnie wyrok śmierci i samą śmierć, choć każą jej była stokroć cięższą. W jej oczach tracono przecież Żelabowa, człowieka kochanego piękniej i głębiej, niż kiedykolwiek serce ludzkie kochało... Dwa razy urywał się stryczek i dwa razy runął Żelabow w przygotowany dół, aż nareszcie w jej oczach zawisnął. Lecz nie on był jej mistrzem. Zanim go poznała, była już „carobójczynią”, czekając jedynie sposobnej chwili, aby przemówić ołowiem w imię spowinowatej sprawiedliwości ludzkiej.

W polu ginęły kobiety z tą samą pańską fantazją, z jaką ginęły na szafotach i szubienicach.

W naszym powstaniu styczniewem młodzieńka panna Rogalińska, świeżo poślubiona Piotrowiczowi, wstępuje z nim razem do oddziału Dworzaczka. Pod Dobrą, zaraz na początku bitwy, padł Piotrowicz — w godzinę później zwałił postrzał jego żonę.

Mdlejącą ręką kładła kozaków trupem, a gdy uczuła, że śmierć się zbliża od ran, zapragnęła jeszcze jednego Moskala dosięgnąć — choć jednego jeszcze wroga Ojczyzny! Skinęła więc, leżąc, na przechodzącego żołdatę, a gdy się ten nachylił, sądząc, że to konający chce mu coś powiedzieć — wypaliła mu ostatni nabój z rewolweru między ślepią. Wówczas roznieśli ją Moskale na bagnietach...

Miała lat 23 i była brzemienną.

Cudna zawikłaność niewolniczej gardy — niestrudzona wierność stalowej lodygi — rozwija się nieraz w błękitną, gładką, ostrą klingę, podobną tej rzece, która drobniutką taśmą zakręca się i skręca, wiąże i kluczy, esyfloresy czyniąc ozdobne na zieleni i chabrze łąk, aż raptem wygina się błyszczącym brzeszczotem. Groźna, ruchoma klinga godzi wtedy w daleką, przeczuwaną pierś morza.

Nie dziwiłabym się ani indyferentkom, ani nawet zdraczym sprawę narodowej wśród kobiet. Są one wszakże wyrzucone poza nawias obywatelskich zadań.

Własnym dzieckiem nie może się kobieta prawnie opiekować, gdy umrze małżonek i pan. Nie wolno jej zasiadać w radzie i sejmach, nie wolno

jej zabierać głosu, gdy chodzi o kraj, o społeczeństwo. Że ma jednakże duszę piękniejszą od tej, którą jej formował pieczołowicie system społeczny, srodze przez mężczyznę strzeżony — uważa ona ów brak przywilejów za czasowe bezprawie, z którym się walczy gromko, jak w Anglii lub aksamitnie, jak u nas — ale który nic na istotę jej ideałów, jej poglądów, jej prac, wpłynąć nie może.

Garnie się u nas i do drużyn bojowych, przygotowuje się, aby nie tylko pielęgniarką była w godzinie porachuków, nietylko szarpie skubała i wylewała kule, nietylko szkaplerzyki wieszała święte na szyje, idącym w bój — ale aby i sama szła w gędzbę wojenną, karna do granic ostatnich. W krajach bogactw niezmierzonych, w krajach świętowań i wolności mogą się ludzie bawić zalotnością gard, przepychem ornamentów, wieńczących miecz rycerza, tajemniczością znaków na obłaku, wdziękiem nie-zrównanym stalowego jelca. W kraju jednakże żalości i niewoli każda garda przetopić się winna w brzeszczot i snuć rytmiczną, twardą legendę cięć rejowskich, „referendarskich” — legendę szabli, którą w Polsce „czarną” nazywano w przeciwieństwie do salonowych, dworackich, które nazywano pogardliwie „indyczkami” — snuć legendę pochodów piorunowych — bezgranicznego męstwa — niewyczerpanych poświęceń.

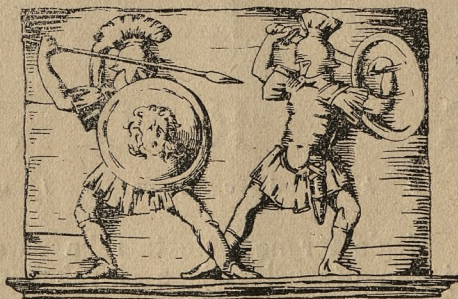
Na knuty i nahajki nie będzie nigdy dość mieczów w Polsce.

Dlatego dobrze, że tu się rozpląca milczący dotąd, wierny, stalowy węzeł gardy, że się wygnie zacieklą, obosieczną klingą, że się rozwinię nieustraszoną lodygą rycerskiego kwiatu, że położy się uczciwie na rocie przysięgi żołnierskiej i poślubi cel żmudny i święty.

II.

Tak się też stało.

Gdy wybuchła wojna, którą słusznie nazwać można wojną o Polskę, niejedna „garda” stała się „brzeszczotem” — setki kobiet poległy w obronie Lwowa, w obronie Płocka i na froncie, w ogniu. Trud ich i męstwo nie były nadaremne — nienadaremne więc były nasze, w przeddzień wojny, nawoływania.



IWO DE JOANNIS

Przeglądając niedawno ostatnie wydawnictwa francuskie, natrafiłam na książkę p. t. „Du Séminaire au champ de bataille, Iwes de Joannis, élève au Séminaire français, brigadier au 51-e d'artillerie. 1893—1914”. Książka, wydana w 1919 r., doczekała się już 5-tej edycji. Autor, p. Tony Catta,

opisał w niej krótkie, proste, a niesłychanie wymowne dzieje młodego kleryka francuskiego, wychowanka Seminarjum duchownego w Rzymie, który na wezwanie zagrożonej ojczyzny staje pod broń w wielkim roku wojny, aby w kilka miesięcy potem

złożyć swe życie w ofierze umiłowanej Francji.

Książka pisana jest stylem spokojnym, treściwym, — bez fałszywego patosu i pretensjonalności, i dlatego właśnie robi tak silne wrażenie. Znać, że pisał ją ktoś bardzo bliski zmarłemu, ktoś, co go znał, nietylko

zewnątrznie, ale i wczuł się sercem w tę duszę jasną, silną i głęboką i wiedział o warunkach, w jakich dusza ta wzrastała i rozwijała się — na chwałę Bogu i Francji.

Na pierwszej stronicy rzuca się w oczy portret Iwona de Joannis. Twarz młodzieńcza, o regularnych rysach pociąga ku sobie odrazu jakimś nieprzepartym urokiem duchowej czystości i piękna. Jednak w tych oczach przenikliwych, a śmiałych, pod pięknym łukiem ciemnych brwi, w tem czole wysokim, ocienionem gęstemi puklami zaczesanych do góry włosów, w tym owalu twarzy o podbródku silnie zarysowanym, o ustach wyrazistych, znamienujących energję i wolę — niema nic z mistyka, ani marzyciela.

Nie był też marzycielem Iwo de Joannis, on, który w krótkich, zwięzłych notatkach swych, zawierających w ormie, szkicowej nieraz, myśli bardzo głębokie, postanowienia czyste i szlachetne — pozostawił podkreślone swoją ręką zdanie: „Z marzycieli nie wyrastają prawdziwi ludzie! Natura czynna, gorąca, jednolita — umysł trzeźwy i głęboki zarazem — charakter silny, energiczny, obdarzony niezwykłą wolą i umiejętnością panowania nad sobą — oto główne cechy tej niezwykłej, zaiste, choć tak młodej jeszcze duszy.

Czytając biografię tego młodziutkiego bohatera Francji, myślałam z żalem, że u nas tak bardzo brak — nietylko może podobnych ludzi — lecz takich ksiązek. Mamy i my przecie swoich kapłanów — bohaterów, mamy zapewne wiele dusz, nie mniej pięknych, czystych i wzniosłych, jak ten seminarzysta francuski. Ale nazwiska ich są nam przeważnie nieznane — i zapomniane ich mogiły porasta trawa polna...

Może więc, choć to krótkie streszczenie tej pięknej w swej prostocie książki pobudzi tych, co znali podobnych młodemu Iwonowi ofiarników, do spisania ich dziejów i podania ich do wiadomości ogółu, aby Polska uczyła się kochać i znać swoich bohaterów...

* * *

Urodzony w 1893 r. w La Rodulle niedaleko Bordeaux, Iwo de Joannis, pochodził z rodziny starej, zasłużonej w dziejach Francji, chociaż — jak samo nazwisko zresztą wskazuje —

nie rdzenie francuskiej. Kroniki rodziny wskazują na Sycylię, jako na pierwotną jej ojczyznę. Tej domieszce krwi włoskiej zawdzięcza zapewne Iwo swą naturę słoneczną, gorącą i to głębokie umiłowanie ducha i kultury łacińskiej, które stanowiło jedną z podstawowych cech jego psychiki. Przez matkę spokrewniony z jednym z najdawniejszych rodów baskijskich, Iwo łączy w sobie wszystkie cechy starej tej rasy italo-celtyckiej: wolę, wytrwałość, a nadewszystko głębokie uczucie religijne, przenikające nawskroś tę duszę czynną a hartowną, jak stal.

Rodzice jego niemająco odegrali rolę w jego wychowaniu. Z domu rodzinnego wyniósł przykłady prawdziwej pobożności, nie polegającej, jak się to, niestety, aż nazbyt często spotyka, na pustych formułkach jałowej dewocji, lecz sięgającej w głąb samego ducha chrystjanizmu. Dom kapitała de Joannis był domem katolickim w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Dzieci wzrastały w atmosferze miłości Boga i Kraju. „Bóg i Francja“ będzie też hasłem młodego Iwona w przeddzień jego śmierci. Z temi słowy w sercu żył; z temi słowy na ustach umiera pogodny, pocieszając zboląłą matkę i siostrę.

Iwo był czwartym z kolei dzieckiem pp. de Joannis. Towarzyszami jego zabaw dziecięcych byli: młodsza o lat parę siostrzyczka oraz ukochany brat Jan, starszy odeń o dwa lata, z którym nie rozstawał się nigdy aż do chwili wstąpienia do seminarjum i przy boku którego pójdzie walczyć i umrzeć za Francję w r. 1914.

Dziecko żywe, wrażliwe, o temperamentie ognistym, mały Iwo nie był łatwym do prowadzenia. Od najwcześniejszego dzieciństwa jednak zdradzał umysł wnikliwy, zastanawiający się nad wszystkimi zjawiskami życiowymi i umiejący rozumować z logiką, wprawdzie dziecinna, ale nieraz niezwykle trafna.

Pierwszem wielkiem przeżyciem, które w duszy jego pozostawiło niezatarte wrażenie, była śmierć młodszej, czternastoletniej siostrzyczki. Małeńka padła ofiarą grasującej podów-

czas epidemii dyfterytu. Umierając, mówiła do płaczącej matki: „Kocham tatusia bardzo, mamusię bardzo, ale małego Jezusa najwięcej ze wszystkich“. Iwo, sam chory na tę okropną chorobę, prosił matkę: „Módl się mamusi do Bożi, żeby i mnie zabrał tak, jak Gigitkę“. Na zapytanie matki, dlaczego chce ją porzucić, odpowiedział: „Bo widzisz teraz już jestem przygotowany na pójście do nieba — a potem będzie trzeba zaczynać nanowo“.

Niedaleko domu, w którym mieszkali pp. de Joannis, budował się klasztor OO. kapucynów. Mali Iwo i Janek korzystali z każdej wolnej chwilk, aby biec na to miejsce i przypatrywać się robotom mularskim, a także rozmawiać z zakonnikami. Było to pierwsze zetknięcie się Iwona z synami św. Franciszka z Assyżu. Cześć dla tego wielkiego świętego, miłośnika dzieci, zwierząt, wszystkich dusz prostych i czystych i wszystkiego, co żyje — pozostanie nazawsze w jego sercu. — Gdy chłopcy podrosli już cokolwiek, pragnęli koniecznie służyć do Mszy św. w „swoim“ klasztorze. Na ich usilne prośby matka uszyła im sukienki krojem habitów kapucyńskich. Iwo nie posiadał się z radości. Ktoś ze znajomych usmiechnął się ironicznie na widok tej „maskarady“. Iwo to zauważył i powiedział do matki z całą powagą: „Ci ludzie, mamusi, nie mają żadnego poczucia religijnego“. I dodał celem wyjaśnienia: „Widzisz, kiedy mi włożą moje ubranie marynarskie, to mi się chce dokazywać i płać figle, a jak mam na sobie habit kapucyński, to już przez sam szacunek dla niego nie chce mi się być niegrzecznym“.

W 1900 r. rodzice Iwona przenoszą się do Nantes. Iwo z bratem zaczynają chodzić do szkoły, prowadzonej przez zakonników ze Zgromadzenia Szkół Chrześcijańskich. Zakład ten stał b. wysoko pod względem naukowym, pod względem zaś wychowawczym prowadzony był bez zarzutu. Iwo był zdolnym dzieckiem, choć może zbyt ruchliwym i niespokojnym. Pomimo to jednak zdobył sobie odrazu serca wszystkich kolegów i profesorów. Zainteresowania jego naukowe szły głównie w kierunku przyrodniczym. Stanie się on z czasem zapalonym kolekcjonistą wszelkiego gatunku owadów, płazów i t. d.

(c. d. n.)

Zofja B.



3) ROZMYŚLANIA WAKACYJNE

III.

Jednym ze zjawisk najbardziej charakterystycznych w historii pedagogii jest chroniczny — że tak powiem — stan krytyki i reform. I nic dziwnego! Pedagogja daje wskazówki, jak uczyć i wychowywać, jak przygo-

tować młodzież do życia. A życie ciągle się zmienia. Zmieniają się jego cele, dążenia, formy. Jeżeli zasady pedagogiczne jakiegoś narodu martwieją, zaskorupiają się, stają się niezgodne do zmian, wtedy powstrzymać muszą naród w jego rozwoju, a tem samem obniżyć jego poziom

kulturalny. Miało to, na przykład, miejsce w Rosji i do pewnego stopnia groziło szkolnictwu pruskiemu, zbytnio zapatrzonemu w ideały Fryderyka Wielkiego i Bismarka. Albo też życie danego narodu, zdrowym instynktem wiedzione, przechodzi nad nim do porządku dziennego, jak to,

naprzykład, działo się w Polsce w drugiej połowie XVIII w. w stosunku do systemu szkolnego Jezuitów.

Wiek XIX, a zwłaszcza jego druga połowa, wykazał dosadnie, jak szybka zmienność form życia w równej mierze odbić się musi na zasadach wychowania. Zmieniły się stosunki polityczne, społeczne, ekonomiczne, a nawet rodzinne; zmieniły się cele i dążenia, zmieniły się musiały także środki i metody.

Życie dworskie, salony, a nawet atmosfera rodzinna straciły charakter ważnego czynnika wychowawczego, wobec czego szkoła, która dotychczas miała tylko cele dydaktyczne t. zn. zajmowała się tylko nauczaniem, musiała wziąć na siebie także obowiązki wychowawcze. Z drugiej strony wiek XIX, wiek eksperymentów i doświadczenia, wiek pary i elektryczności, wynalazków, wielkiego przemysłu i handlu, zapotrzebował innych ludzi: innych umysłów, innych charakterów i innego przygotowania życiowego. Zamiast erudytów, wykształconych na zasadach humanistycznych, okazała się potrzeba ludzi praktycznych, doświadczonych i samodzielnych. Zasady pedagogiczne musiały się gruntownie zmienić.

To też przez całą Europę przeszła szeroka fala reform. Zmieniono cel, program — a co najważniejsze — sposób nauczania. Celem wychowania stał się rozwój wszechstronny, a więc nie tylko umysłu, ale i charakteru. W programie dano przewagę naukom matematyczno-przyrodniczym nad filologiczno-humanistycznymi. Co się zaś dotyczy metody nauczania, to tu za podstawę przyjęto oparte o teorie psychologiczne Herberta, odruchowe zainteresowanie przedmiotem na miejsce dawnego wysiłku woli w imię poczucia obowiązku, którego żądał Kant. W ten sposób powstał cały szereg odmian szkół t. zn. realnych, przemysłowych, handlowych i t. p.

Kiedy jednak niedługo potem okazało się, że samo teoretyczne nauczanie o przyrodzie, o doświadczeniu, o maszynach, nie wystarczy, aby wyrobić rzetelność i sprawność życiową, że zdobyć je można tylko realną pracą, pojawiły się nowe prądy, które wydały nowy typ szkoły, a mianowicie t. zw. szkołę pracy.

Kierunek ten, nie bez słuszności, nazywają amerykańskim. Ameryka nie tylko intensywną pracą fizyczną i wytężonym życiem praktycznym dała impuls do przeobrażenia potrzeb życiowych, ale Ameryka dała także pierwsze wzory takiej nowoczesnej szkoły. Wspaniała szkoła murzyna Booker T. Washingtona w Tuskegee była w praktyce na wiele lat przedtem genialną improwizacją tego systemu, który później kategorycznie stworzył i na którym oparł swoją szkołę doświadczalną przy uniwersytecie w Chicago prof. Dewey.

Co się tyczy Europy, to i tu nowy ten typ od szeregu lat się roz-

powszechnił w rozmaitych, krajach pod rozmaitymi nazwami. W zakresie szkolnictwa niższego do dużego rozgłosu doszedł typ włoski szkoły pracy Montesotti; w szkolnictwie zaś średnim t. zw. „Landschulheim“ typu niemieckiego i szwajcarsko-angielskiego. (U nas do pewnego stopnia zbliża się do tego typu znana szkoła ks. Gralewskiego w Starej Wsi).

Zasadą tych szkół nowoczesnych jest praca fizyczna, wykonywana samodzielnie przez uczniów pod kierunkiem nauczycieli, a więc wycinanki, modelowanie, slójd dla młodszych, a dla starszych rzemiosła, ogrodnictwo i t. p.

Można powiedzieć, że ostatni ten typ jest właśnie w fazie prób i eksperymentów i, jak dotychczas, pozostawiony wyłącznie inicjatywie prywatnej. Ma on swoich entuzjastów, ale nie brak mu też i przeciwników, ma swoje zalety i wady, lecz to, co mu najwięcej niezawodnie przeszkadza do uzyskania rozpowszechnienia jest, obok trudności czysto praktycznych, pewna, że tak powiem, sztuczność tej pracy. Taka praca, jak wycinanka, modelowanie, a choćby konkretniejsze roboty (jak tkactwo Dewey'a), narzucone z zewnątrz, a nie będące naturalnym wpływem potrzeb życia, muszą wytwarzać niechęć, znużenie, jednym słowem przymus, równie szkodliwy, jak w szkołach dawnych. Nie uratuje sytuacji nawet zalecana przez Dewey'a wspólna kuchnia szkolna.

System Dewey'a, rozpowszechniony dzięki tłumaczeniom jego prac przez prof. Claparèd'a, w ostatnich latach zwrócił na siebie szczególną uwagę. I to nie tylko dlatego, że wszystko, co amerykańskie, stało się wogóle modne, ale przede wszystkim z powodu swojego charakteru wybitnie społecznego. Mam jednak wrażenie, że w tych warunkach i temi środkami, jakie on zaleca, nie można osiągnąć wytkniętego celu. Aby szkoła naprawdę stać się mogła „jednostką społeczną“, musiałyby nauczycieli i uczniów łączyć — przynajmniej przez szereg lat — wspólność życia i interesów. Kto chce terminować w sztuce krawieckiej, szewskiej, stolarskiej i t. p. musi przez szereg lat brać udział w tej pracy w każdej jej fazie. Tak samo i tym, którzy chcą nauczyć się od nauczycieli trud-

nej sztuki życia, nie wystarczy tylko spotykać się z nimi par distance na lekcjach, a choćby nawet w pracowniach.

A teraz krótka bajeczka:

Żył sobie pewien murzyn, imieniem Booker. Matka jego, sprzedana była do niewoli do południowych Stanów Ameryki Północnej. Już jako mały chłopiec ciężko musiał pracować w kopalni, choć czuł nieprzepar-te pragnienie nauki. Los jego nie o wiele się zmienił, gdy po zwycięskich walkach Lincolna murzyni zostali wyzwoleni. A jednak dzięki własnym trudom, dzięki własnym ideałom zdobył wykształcenie i stał się nie tylko nauczycielem, ale naprawdę mistrzem życia dla całego współczesnego pokolenia swoich braci.

Gdy zaczynał swoją karierę nauczycielską, nie posiadał dosłownie nic — prócz nieco doświadczenia życiowego, nieco wykształcenia, dużo zapału i niezatarte wspomnienie szkoły w Hampton, którą ukończył. (W szkole tej uczniowie opłacali naukę prze-ważnie własną pracą dla szkoły, tworząc w ten sposób z nauczycielami jakby jedną rodzinę). Pozatem żadnych teorii, żadnego systemu!

Pracę swoją zaczął od tego, że wspólnie z nielicznymi jeszcze uczniami naprawił stare, opuszczone domostwo, wynajęte na szkołę, i zrobił konieczne urządzenia wewnętrzne. Szkołę oparł zresztą o te same zasady, co seminarjum w Hampton t. zn. o zasadę samowystarczalności. Uczniowie i uczennice wykonywali wszystkie prace wewnętrzne, a pozatem rozmaite rzemiosła, które dawały dochody na utrzymanie szkoły.

Co się dalej stało? Otóż tu właśnie zaczyna się ta najcudowniejsza z bajek dla dorosłych i cywilizowanych dzieci.

Ten murzyn, urodzony w niewoli bez „wyższych studiów“, bez środków materialnych, dzięki genialnemu talentowi pedagogicznemu i gorącemu ukochaniu ludzkości, stworzył dzieło, wywołujące podziw i uwielbienie!

Umarł niedawno, a to, co zostawił w Tuskegee, nazwaćby można „państwem szkolnym“: 2300 akrów ziemi, 40 budynków, a w nich wszystkie stopnie szkół — od elementarnych do najwyższych — biblioteki, pracownice, 28 różnych oddziałów przemysłowych i t. p.

Wszystko to wzniesione własną jego pracą i pracą uczniów w ciągu lat 19!...

A te masy uczniów i uczennic, którzy w tym okresie czasu opuścili szkołę i, idąc w naród, pracą swoją dźwignęli całe pokolenie murzynów z najniższego stopnia kulturalnego na poziom zupełnie współczesny!

Mam wrażenie, że genialny Booker T. Washington wskazał nam najwłaściwszą drogę.



BALLADY

O NOCY SAMOTNEJ

Był to pierwszy Maj na świecie...

*Słońca blaskiem rozłożona
ziemia, cudnie uśmiechnięta,
promieniała, jak zaklęta
królewna, ze snu zbudzona
kochanka czułem wołaniem...
Przyodziana w barwne kwiecie
upajała się śpiewaniem
ptasząt, które pod obłoki
wzlatują nucąc piosenki...
upajała się jutrzeźni
różanej dziewiczym świtem...
upajała się błękitem
niebios...*

*Szumiące potoki
zdobne lilje i kaliny,
co korytami kwietnymi
w dal pędziły przez gęstwiny,
napelniały ją zachwytem...*

Był to pierwszy Maj na ziemi...

*W taką cudną, cudną chwilę
zstąpił Bóg z niebios wyżyny...*

*I witały Go motyle
tęczowe i polne dzwonki,
i rozmodlone skowronki,
i smółki na wonnej łące,
i konwaljowe ruczaje,
i brzoza uśmiechnięte gaje,
słowikami śpiewające...
Tylko noc smutna i blada...
nie cieszy się, nie weseli,
w srebrnych mgieł stanęła bieli
przed Stwórcą i tak powiada:
„O Panie, biada mi biada...
patrz—cały świat mnie unika...
nie dla mnie słońca pieszczoty...
słuchając pieśni słowika...
samotna konam z tęsknoty
i nie znam żywej istoty,
coby moje łzy otarła.
Za życia — jużem umarła...
Łzy gorzkie z mych oczu płyną,
zmieniając się w gwiazdy złote...
A ile tych gwiazd na niebie,
tyle łez, wylanych w męce*

*przez Ciebie, Boże, przez Ciebie...
O, daj mi bliźnią istotę...”*

*Zmiłował się Bóg litosny,
poznawszy nocy cierpienie,
i rzekł: „W dzień Słońca i Wiosny
smutek Twój w radość przemienię
i ześlę ci towarzysza...”*

*I stała się wielka cisza
i spokój przedziwnie błogi...
A natenczas z niebios szlaku
ze srebrzystej mlecznej drogi
spłynął sen, kochanek maku ..*

*Odtąd Boskiej Nocy czary
wielbią natchnieni poeci...
Nocą marzą małe dzieci
złotoskrzydłe sny o czynie...
Nocą marzy człowiek stary
o swej młodości krainie,
Grzeszny — miłosierdzie Boże,
Cierpiący — szczęścia balsamy,
Nędzarz — klejnotów sezamy,
Niewolnik — wolności zorze...*

BŁĘDNY RYCERZ

*Wjechałem w las, w kwieciasty las...
Przedemną — gąszcz pachnący...
Wkoło zielony odmet kniej...
Nademną — złote słońce...*

*Słowików brzmi wiosenny śpiew,
omdlewając rzewny...
Pytam się w borze ptaków i drzew
o drogę do mej królewny...*

*Pytam się w borze ptaków i drzew
i szydzą ze mnie ptaki:
„Błądny rycerzu, wokoło maj
a tyś jest smutny taki?”*

*Śmieją się ze mnie dziecioly pstre
i wilgi szczerzozłote,
I tylko słowik, braciszek mój,
rozumie moją tęsknotę...*

*I śpiewa tak ten słodki ptak:
„Rycerzu — tą kwietną drogą,
po której jedziesz — dalej jedź...
O nic nie pytaj nikogo...”*

*Do starej chaty pośród olch
wiedzie ta leśna dróżka...
W tej chacie mieszka czarny kot
i czarodziejka wróżka...*

*Po ścianach wiszą pęki ziół
czar — ziele, lubczyk, — ziele
i dzicze kły i skóry żmij,
i czaszki, i piszczele...*

*Wieczereż warzy wróżka zła,
na synów oczekuje...
Niedługo z boru wróć już
jej syny — rude zbóje...*

*Wieczereż warzy wróżka zła — —
W kominku ogień buczy...
Grzeje się przy nim czarny kot,
przeciąga się i mruczy...*

*A w głębi izby piosenka brzmi
i furkot kołowrotka...
Nad kołowrotkiem śpiewa, śni
dziecina twoja słodka...*

*Nad kołowrotkiem śpiewa, śni
królewna uśmiechnięta...
Włosy jej złote — jako len...
jak chabry modre oczęta...*

BALLADA O WIERNYM KOCHANIU

*Dlaczego kwiaty pachną słodziej od miodu?
Dlaczego niebo, jako miłość, gorące?
Królewno! twój kochanek wszedł do ogrodu,
na jego drodze ziemię całuje słońce...*

*Czemu tak szumią czarne olchy nad wodą?
Dlaczego, cudna, w sadzie powiedły róże?
Twego słodkiego chłopca na śmierć powiodą,
Zagaśnie ciche słońce we krwi purpurze.*

*Gdy małe fiołki łzami rosy zapłaczą,
pójdź, królewno, do wieży za ciemnym borem,
(Dlaczego czarne kruki tak smutnie kraczą?)
Nie boisz się po lesie chodzić wieczorem?*

*W zielonym mroku czają się jakieś cienie,
Nad czarnym borem kłębią się dymu chmury...
Królul słodkiej miłości wrące płomienie
przepalić mogą nawet więzienne mury.*

SOLILOQUIA

Proza poetycka.

Anima mea! Angele Dei!

Bądź pozdrowiona — i bądź mi błogosławiona, o Duszo moja! Aniele boży!...

Padam Przed Tobą na kolana — i modłę się do Ciebie — w której dłoniach spoczywają moje losy doczesne i wieczne!...

Dopiero teraz otworzyły mi się wewnętrzne oczy; zrozumiałam: życie było Twoim wolnym wyborem, nieskrępowaną przez nikogo własną twórczością Twoją... Z pośród miljarda możliwości losowych Tyś wybrała, — Tyś obmyśliła, — Tyś zgotowała ten straszny dla mnie los!...

Błogosławiona bądź!...

Rozłożyłam dziś mapę życia na kolanach, a śledząc dróg początki i ich skrzyżowania, przekonałam się, że szemat jego był zwyczajny i że mogłam była przeżyć takie same, jak ogół ludzki, życie łaskawe...

Trzeba było tylko tego chcieć.

Trzeba było tylko zdać się na ten fizyczny instynkt samozachowania, który sam trafia do szczęścia, wietrząc je, jak gończy pies — jak się na północ obraca busola.

Ale we mnie silniejszym był Twój metafizyczny instynkt samozatrącenia, — który prowadził mnie z przepaści w przepaść...

Niesłusznie bluźniłam Opatrzności i o zasadzki podejrywałam ludzi... To ja sama byłam dla siebie tym wrogiem najprzebieglejszym i nieprzejednanym — którego intrygi udaremniały wszystko, co dla mojego dobra robił rozum i jego świadoma energia... Nie tragedia szła moim śladem — ja trop w trop ściagałam tragedję...

O jakżeś mądra w niezgłębionych zamysłach swoich!... Błogosławię Ci!

I żeś wydzierała z rąk biednemu dziecku to jedno jedyne cacko, z którym zasypiało w zaciśniętej piąstce... I żeś mu je zawsze połamala w oczach jego na kawałki i podeptała nogami, z gniewem rzuciwszy na ziemię, nie zważając na rozdzierający krzyk — na łzy, co potokami, potokami płynęły...

Na żelazne łańcuchy woli twojej niebieskiej ujęłaś ludzką moją wolę i jak pogromca tresowałaś w sztuce nadprzyrodzonego i oczyma piorunowemi, i głodem, i chłodem, i kołem rozpalonym, i wyostrzonym brzeszczotem mnie, lwa dzikiego, marzącego o swoich szczęściach w wolnej pustyni. I poprowadziłaś karłowatymi perciami duchów mnie, nieobliczalnego szaleńca — mnie, dziecko głupie — mnie, niewiastę słabą — o sercu miękkim, jak wosk... o sercu łączącym w ogień, jak ćma, — o sercu łakomym słodocy, biorącym się na lep, jak ta mucha!...

Ale Ty miałaś zawsze stanąć pomiędzy ustami memi, a brzegiem pułahu... i wytrącić mi go z ręki w momencie ostatecznym, kiedy już wargi zwilżyła pierwsza z niego kropla...

Umiałaś usta moje zamurować pieczęcią straszego, jak mróz, jak śmierć, milczenia — właśnie w chwili, kiedy już na nich drżało skrzydłami, jak motyl, zrywający się do lotu, słowo jedyne, które wszystko otwiera, jak klucz.

Ach, to była Twoja intryga niebieska — Twój to był manewr Anioła. Bo tak było Ci potrzeba do Twoich wielkich przeznaczeń — do Twoich planów, rozmierzonych na wieczność, — do Twoich gwiaździstych etapów...

Ale człowiek chciał być po ludzku szczęśliwy — bił się więc z Tobą o szczęście ludzkie, jak Jakób ze swoim Aniołem!...

Już na wiosennym paku mego lica, podobne do czarnego ukąszenia wewnętrznej gąsiennicy, położyłaś piętno melancholji. Twarz moja fałszowała moje uczucia, wyrażając cierpienia, którego we mnie nie było.

Niezaznawana melancholja pochyliła ku ziemi gestem schorowania wysmukłą moją postać...

To Tyś przykrzyła sobie w dosycie ludzkim — i targalaś mnie za serce, jak za dzwonek ręka niecierpliwa: „Nudno tu!“ — „ciasno tu!“ — „chodźmy stąd!“ — „chodźmy stąd!“...

Nareszcie z przebiegłością, której śmiertelnikowi nie oszukać, wy-

prowadziła człowieka własna jego dusza, jego własnymi krokami szaleńca, jego własnym głupim konceptem dziecka z tego Domu dzieciństwa, gdzie mu niczego nie brakowało, gdzie promieniste Oko opatrności, Błogosławieństwo złote wisiało w sieni, ustrojonej kłosianami wieńcami — gdzie malwy przed oknem wysokie straż trzymały dziewczym snom, — gdzie u studni żuraw skrzypiał głosem pradziadów: „Krynica ta jest zdrowa i czysta“. — Za wrotami drogi na krzyż się rozbiegały. — „Na wschód! ach, tylko na wschód!“ ciągnęła Dusza... Tam z wiecznych pąków kwiat się rozwija co rana — tam wiecznie słońce wschodzi. „Tam znajdziesz szczęście swoje“.

Poszłam go szukać... Ach, ach, ileż schodziłam dróg! Tłukłam się po ludnych gościńcach i po traktach zbójnickich, i po ścieżkach niewydeptanych. — Przeciśkałam się przez mrowiące się ludźmi ulice i rynki miast wielkich... Drogi były zawile, niebezpieczne i bezpowrotne. Ścisnęło mnie zimno świata i przytłoczyła jego szarzyzna. — Byłam sama i znudzona śmiertelnie. Oplakiwałam gorzko utracony samochcąc dzieciństwa raj! — Ale od cierpienia wyzdrowiało i okrzepło ciało moje — od cierpienia znikła melancholja z twarzy, — która rozjaśniła się i zakwitła różami.

Nagle — zmieniło się niebo nademną — szybko, jak teatralna dekoracja, roztoczył się wokoło mnie gorący czerwiec życia...

Za dotknięciem palczki magicznej wyrósł z pod ziemi Dom drugi Dom Młodości, dostatni i błogi. W jego świetlicy, mlekiem i miodem płynącej — krzak koralowy! — stało w pośrodku serce moje, którego młode pędy krwi pokrywały się kwiatem czerwonych serduszek, dzwoniących radość życia za każdym tętnem macierzystego koralu. W pośrodku — wielki świecznik! — stało serce moje, na którego obręczy gorzały liczne płomyki, a każdy iskrę swoją wziął z tego ogniska, które paliło się w moim łonie. Ach jakże byłam szczęśliwą!!!

(c. d. n.).

Marja Gr.-K.

11)

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

Historja Polski nie należała bynajmniej do przedmiotów, objętych programem gimnazjalnym. W szkołach były o niej wzmianki przy historii Rosji, w odpowiednim oświetleniu.

Panna Anna jednak postanowiła nie pomijać jej w nauce domowej,

a zauważywszy u wszystkich dzieci dość dokładną znajomość faktów, uznała, że należy tylko pogłębić ich pogląd na dzieje ojczystego kraju. W tym celu czytywała im od czasu do czasu, komentując szeroko, ustępy ze świeżo wydanego właśnie dzieła krakowskiego historyka, Michała Bobrzyńskiego,

które „Przegląd Tygodniowy“ mocno wysławiał.

Dzieci Sokołowskich nudziły się śmiertelnie przy tem czytaniu, a Wanda dostawała wypieków na twarzy i płonęła całą nienawiścią do autora. Wyidealizowana w jej sercu przeszłość narodu, skalpelem analizy historycz-

nej zamieniona w anatomiczny preparat!.

I po co?! po co, gdy nie kochają, dobywają z mogiły zewłok śmiertelny Matki, by liczyć sine plamy zgnilizny na jej martwym cieple!... tak myślało szalone dziecko i zaciskało zęby. Ale raz, przy końcu dzieła, gdzie mowa była o nieuniknionej konieczności upadku Polski z przyczyn zarówno geograficznego położenia, jak i psychicznej struktury narodowej jaźni, a wynik ostateczny wszystkich dedukcji autora zdawał się mówić, że to, co „konieczne” upaść musiało, powstać już nie może...

Wanda wybuchnęła głuchym łkaniem.

Porwała się z miejsca przerażona i zdumiona nauczycielka, a Stefan krzyknął:

— Nie płacz, głupia! To wszystko brednie!

W tej chwili Ignas wskazał na „Tygodnik Ilustrowany” czy „Kłosa”, które miała Ninka, z nóżkami siedząca na sofie, rozłożyła przed sobą, by oglądać obrazki.

— A ot i p. Bobrzyński!

— Skopsać Bobrzyńskiego — krzyknął Stefan.

Dziecko, uradowane pomysłem, małemi nóżkami przebierać jęło po kartach ilustracji, na której widniał wizerunek znakomitego historyka i męża stanu.

— Skopsać Bobrzyńskiego! — wrzeszczeli obaj chłopcy, a Ninka, zanosząc się od śmiechu, dokonywała aktu „zemsty narodowej”.

Panna Anna, oburzona, odebrała jej ilustrację i rozbrykanych chłopców zapędziła do gramatyki rosyjskiej, Wanda zawstydzona uciekła.

Uciekła na strych. To było teraz znów ulubione jej schronienie, jedyne miejsce, gdzie czuła się daleką od współczesnego świata, od „pozytywnej wiedzy”, od „pracy organicznej”, od „postępu”, „Przeglądu Tygodniowego”, historyków krakowskiej szkoły, od chłodnej mądrości p. Anny i jej „okropnych” książek, a także od bezmyślności reszty domowego otoczenia. Stąd przez dymnik spoglądać mogła z góry na dalekie, na bezbrzeżne mazowieckie równie. Stąd widziała „żywe” oblicze ojczyzny. I teraz oto chodził po tych polach wicher letni i kołysał falami płowych i zielonych zbóż, że zdały się jakoby jedno wielkie, bezgraniczne morze. Kłonią się fale, biegną jedna za drugą w przyszłość, w dal, w nieznany los, w złocisty sen... Ukołysały zranioną duszę dziecka, pięknoscią swą zleczyły spłakane oczy... Wanda śni, na jawie śni: tam, daleko na falach zbóż kołosze się okręt, olbrzymi, potężna nawa Państwa Polskiego... Żagle jej z białych, orlich skrzydeł, maszty z niebotycznych sosen... płynie dumna w przyszłość... w dal... w nieznany los... w odległy czas... w złocisty sen...

Niema Boga!

Wanda dowiedziała się o tem nagle, podczas modlitwy wieczornej, gdy, jak codziennie, modliła się namiętnymi słowy za wygnańców sybirskich, za męczonych w kopalniach, za tułaczy, samotników, za wszystkich, co gdziekolwiek na świecie cierpieli za Polskę...

Niema Boga!

Na dole i w górze niema nikogo!

Czarno! pusto!

Do kogoż modlić się?!

Niema nieba!

Są tylko siły przyrody, nieodłączne od materji — wszechświatem rządzą jakieś nieubłagane, niewiadomo skąd pochodzące, prawa...

Niema Boga!...

Co za otchłań!

I w tej samej prawie chwili chwycił ją za włosy strach przed gniewem Boga.

Rzuciła się z płaczem na ziemię, biła głową o podłogę, błagała przebaczenia, ale daremnie! Nigdzie, nigdzie nie było Boga!

Nikt nie słuchał modlitw, nikt nie miał miłosierdzia nad zwyciężonymi. Wszystko, czem dusza żyła dotąd, było głupstwem, naiwnością dziecka, starym, stęchłym zabobonem. Nauka współczesna to odkryła, ona jedna zna prawdy nieubłagane! ona jedna umie dowieść wszystkiego! Przekłeta!

Wstała z klęczek z twarzą ziemną i poszarzała.

Odtąd nie było Boga!

I zaczęła się w duszy dziecka szarpanina straszliwa: paroksyzmy niewiary, przeplatane paroksyzmami strachu przed grzechem niewiary.

Pragnęła wierzyć w Boga, a nie mogła! Kochała Go... ale Go nie było!

O straszliwym odkryciu nie powiedziała nikomu i biła się dniami i nocami wewnętrznym, śmiertelnym bojem, któremu nie było końca.

Odtąd zupełnie źle szła jej nauka.

Czemże były gramatyczne formuły, czem prawdy matematyczne wobec tego jednego przeraźliwego pytania, od którego zawisło wszystko, bo jeśli Jego niema, więc jak żyć?... Czy żyć?... Po co?! Żeby się wypełniły prawa przyrody?! Cóż ją obchodzi nieme, bezosobowe, bezduszne prawa! Ale, jeśli zada sobie śmierć, będzie to także tylko wypełnieniem się jakiegoś niewiadomego jej prawa... bo woli wolnej niema człowiek!... czytała rozprawę Ochorowicza... w umyśle ludzkim ścierają się różne siły — wy-

padkowa tego starcia daje złudzenie wolnej woli... silniejszy zwycięża zawsze... w przyrodzie, w życiu, w polityce... nieubłagane prawo walki o byt!...

Na duszy dziecka legła przemoc materialistycznego światopoglądu, nie znajdująca na razie żadnej przeciwwagi, chyba w tym strachu, którym przejawiała się resztką wiary. Wanda zrozumiała, że ten lęk właśnie jest jeszcze wiarą i chwyciła go się. Ale i lęk mijał, wygasał powoli i pustka była coraz zupełniejsza, za życia — pustka, a po śmierci — nicość... i na pociechę — przemiana materji...

Proces ten tragicznego zmagania się w umyśle dziewczyny trwał kilka miesięcy. Był on niby wicher pożarny, który w duszy jej spopielił wiele rzeczy bezcennych i już niepowrotnych. Z popieliska tego, po jakimś czasie, dobyła okrucich djamentu: głos sumienia!

Choć nie było Boga, On był i mówił, mówił, wbrew wszystkim pewnikom naukowym. Na pytanie, jak żyć, znalazła smutną, połowiczną odpowiedź: tak, jakby prawdą było to, co, prawdopodobnie, prawdą nie jest. Kochać! jak nauczał Chrystus, i choć Chrystus był tylko legendą...

Gwałtowny paroksyzm niewiary mijał, pozostawiając po sobie gorzki osad sceptycyzmu. Świat posmutniał. stracił barwy... nie było na nim cudów... nie mieszkał w nim Duch...

Z odwagą samotnego bojownika dziewczyna postanowiła iść w życie, próbując, czy nie odnajdzie Boga...

ROZDZIAŁ IX

UCIECZKA

Mijały dni, miesiące, lata — jednostajne, ciche, martwe, bez wstrząśnień i bez radości, umarłe dni narodu w niewoli.

Przyszła jesień, chłopców odwieziono do gubernialnego miasta. Tam, dzięki wspólnym wysiłkom panny Anny, mającej „stosunki” w gimnazjum miejscowem i Sokołowskiego, który stosunki te umiał wykorzystać, odpowiedni datek wsuwając w odpowiednie ręce, udało im się tym razem zdać egzamin do klasy IV-ej. Umieszczeni na stacji u samego dyrektora, poleceni gorąco pani dyrektorowej, koleżance panny Anny z Instytutu Maryjskiego, mieli szczęście zwrócić na siebie uwagę Anny Iwanówny — starszy zwłaszcza. Tym sposobem słała się przed nimi droga nauki szkolnej, nie najeżona szczególnymi trudnościami.

Panna Anna spełniła swoje zadanie. Sokołowski, podziękowawszy gorąco za chłopców, odesłał nauczycielkę do Warszawy.

— Dziewczęta już i tak zawiele umieją, — mówiono.



5)

MARJA GROSSEK-KORYCKA

E M I L V E R H A E R E N

ENTUZJASTA I CZCICIEL POTĘGI.

Było to w roku 1913-tym podczas ostatniego Bożego Narodzenia, jakie spokojnie, wśród naiwnych tradycyjnych radości obchodził stary świat w przeddzień katastrofy. Verhaeren miał w Warszawie odczyt. Mówił o entuzjazmie. Jest zawsze coś w osobistym zetknięciu się z człowiekiem, co błyskawicznie informuje o nim lepiej, niż wszystkie jego pisma: czarne żuźle słowa na białym kamieniu kart... Widocznym było nadto, że temat nie został wybrany przypadkowo, jakiniebądź literacki — ale że to była jakaś zasada duszy. Chwila ciszy — i ujrzelśmy przed sobą w tej szablonowo-eleganckiej, ale wesołej sali Techników, wypełnionej po brzegi doborową publicznością, w ostrem świetle wszystkich płonących świeczników, tak bardzo tragiczną postać: starego orła, osiwiałego w burzach niebieskich, którego ramiona w dół zwisały, jak połamane skrzydła, a oczy z trudnością dźwigały zmęczoną powiekę.

Skądże ta sprzeczność! Był zbyt wielki, aby życie jego w zasadniczych liniach pozostało nie znane: były to linie szczęścia! Gdzież ta słoneczność, ta radość życia, tryskająca fontanną z dzieł jego najwyższych, z dzieł dojrzałości? Taki wygląd w kontraście do swego losu posiadają ci, co przeżyli tragedje metafizyczne.

Audytoryum słuchało z wyczekującą rezerwą nierozgrzewającego się chłodu...

Mówca mówił o entuzjazmie bez entuzjazmu, tego taniego, który działa na masy. Nie było w twarzy uniesienia, w głosie patosu, w słowach ognia.

Verhaeren mówił cicho, żarliwie... w głębokim skupieniu religijnym, a głos jego miał akcenta tego, kto powierza drugim wielką tajemnicę dobroczynną, dla niego nieskończenie drogą... Czuło się, że entuzjazm nie tylko duszę mu wypełnia, lecz że on, świadomy jakiegoś nadzwyczajnego w nim znaczenia, kocha go w sobie i pielęgnuje to uczucie tak, jak się kocha i pielęgnuje swój genjusz, swoją piękność i swoją miłość, to wszystko słowem, co daje najwyższe szczęście lub ocala w ostatniej niedoli.

Pokazywał go słuchaczom swoim, jak panaceum na wszystkie cierpienia i jak talizman, zachęcając, żeby się zaopatrywał weń każdy.

Po odczycie rzekł do mnie jeden z poetów: „a przecież jest coś dziwnie smutnego w tym jego entuzjazmie!” Uwaga przenikliwa! W tym entuzjazmie było coś nieskończenie smutnego: to było jego ograniczenie.

Był to smutek bladego bzu, wypędzonego w cieplarni, w zimie...był to ostatni spazm ręki, czepiającej się w tonięciu byle deski... Gdyż to nie był entuzjazm, szybujący pełnym rozmachem szeroko rozpostartych skrzydeł w otwartą nieskończoność nieba.

Ten rozpędzający się w górę lot musiał ciągle zawracać do ziemi, tłukąc skrzydłami o wieko ołowiane, którem zamknięta została przed nim nieskończoność i na którym zamiast gwiazd i słońca świecą wielkie latarnie elektryczne. A przecież i to było coś niezmiernie drogiego, niezastąpionego niczem, coś jedynego dla duszy, co postawiła pomiędzy sobą a nieskończonością ograniczenie, wyżyć w niem nie mogąc! I to był jednak entuzjazm!...

A czymże jest entuzjazm?

W szerokiej gammie ludzkiego zachwyty jest on odrębnym jego gatunkiem: jest to zachwyt pochodzenia religijnego.

Entuzjazm jest to iskra, którą serce daje przy zetknięciu się z Pierwiastkiem Boskim, rozsianym w naturze.

Lord Schaftesbury z entuzjazmu wyprowadza wszystkie cuda moralne. Entuzjazm sam w sobie i sam przez się jest pewnego rodzaju religią, religią, sprowadzoną do elementu, czysto emocjonalnego: jest bezpośrednim czuciem Boskiego.

Dusza Verhaerena, w absolutnych pograżona ciemnościach, odkryła w sobie ten promień, łączący ją z Absolutem, i po promieniu tym wydobyła się z odchłani!

Tytuły dzieł, które napisał potem, są heroldami słońca; Moce Gwałtowne — Wieloraka Wspaniałość — Rytm Górne.

Zestawmy wiersz „Jak ponuro!” z tym „Porankiem”:

Chciałbym wciągnąć w płuca całą przestrzeń, aby się od niej rozszerzyć. Rzucam się na trawę, całując kwiaty w usta ich płomienne. Dusza moja śpiewa i płacze—krzyczy i wylewa się na zewnątrz z takim impetem i upaja się sama sobą, jak szalenie.



Znów oczy podnosi do gwiazdzistego nieba, jak wówczas, gdy pisał przesmutne swoje Liczby — ale teraz, aby zaśpiewać Na chwałę niebios.

Nieskończoność przebija cała przez welony,
Co palcami z promieni tka na niej wieczny [mroz,
A ciemny las niebiosów niezgłębiony
Zwiesza w dół złotem drżące gałęzie gwiazd-
[nych łóz.

O, tumulty spalone szybkości i głosu,
Których szła w drodze ku nam zamiera w nie- [mocy,
A z których pada to milczenie Kołesu,
Co jest spokojem i wielkością nocy!

ŚWIAT (LE MONDE)

Świat ten jest światem ludzi i gwiazd.

Tam w górze!
Od czasów jakże niewymownych
W ogrodach gwiazd głębokich i gwałtownych,
Tam, w górze,
Dokoła słońc
Na podobieństwo brzęczących pszczoł żądź,
Tam, w górze,
Pośród energii lodowatych pól,
Miljardowy, majestatyczny,
Tragiczny
Kraży planet ul.,

Gwiazda jakaś zapadła w bezednie,
I wypuściła z siebie garść tych złotych pszczoł,
Co wyblyskuje nocą, a pogasa we dnie
Dookoła szpalerów
Z diamentowych ziół
Po ogrodzie płomiennych eterów,
Zataczając ognistych bukiet kół.

Prawo matematyczne rozszalałych wirów,
Żelaznego porządku obłędne gzygaki,
Płomienne liście, gorejące krzaki,
Pnące się coraz dalej w głąb studni szafirów
Rodzące się i ginące,
Zapalające od słońca słońce
I spalające.

W bezdenny świat
Kołowrot mknie za kołowrotem,
Za kwiatem kwiat,
Djadem na djademie
I klejnot nad klejnotem...
Z koron niebieskich łam brylantu spadł
Przed stuleciami i utworzył ziemię.

Z Majestatem nieba nie zмага się już dusza, nie rzuca mu tragicznych pytań: Jak długo jeszcze? — i dokąd? W harmonii z całym stworzeniem dusza śpiewa: A la gloire des cieux!

(c. d. n.).

MARJA DĄBROWSKA

3) SZUKAJĄCY POCIESZENIA

N O W E L A

Ci, co wracali o zmierzchu z podwórze, mówili, że już pan kazał trumnę zrobić, i że ją stelmach w wozowni zbija. Nade wsią, a też nad dworem, nad sadem coś milczało, jak milczy zawsze, kiedy śmierć jest w pobliżu. Gdy się miało już dobrze ku nocy—Wityczka w ciężkiej rozterce wyszła przed sień, siadła nieco na ławeczce, która tam była wysoka bardzo pod okapem. Wtedy we zmroku dało się uczuć niby czyjeś zbliżanie. Wychyliła się nieco i zobaczyła, że drogą biegnie szpic z owczarni pręcisienko, z nosem, sztywno przed siebie postawionym—z ogonem podwiniętym.

Stała przed nią między kratagusami i drygnął sobą, jakby mówiący, że chce przyjść.

I zaraz przyszedł, usiadł przy niej, białą łapę przełożył przez jej stopę, kiwając się o włos od ziemi i tak siedział. Witykowska wróciła do izby i powiedziała, że jak ten piesek przyszedł, i tak tę łapkę położył, zaraz ją tknęło, że Wityk naprawdę niechybnie umarł.

Tedy nastała pusta noc i dużo było takich, co przyszli czuć i pieśni za umarłych śpiewać.

* * *

Nazajutrz rano wszyscy, kto chciał, mieli pozwolone iść na pogrzeb, a tylko bandosy robili w polu.

Graboszczanka i Paterkówna poszły do dworu prosić, że chcą narwać kwiatów. Najpierw powiedziały, że do kościoła, zaś potem, że na wianuszek na grób. Nadęte i zaspane kroczyły za pokojówką, gdzie im pokazała, że mogą rwać—zaś gdy wróciły, wszyscy już stali przed mieszkaniem Wityków.

Pan przysłał umajony wóz—lecz oni wóz ominęli.

Wityk skończył przy robocie, jak żołnierz, czyniacy swoje dzieło, więc go robiące ręce będą niosły.

I choć to było trzy wiorsty do Tykadłowa, stanęło ich tylu do trumny, że nie ramiona go nieśli, jak to bywa, lecz dłońmi go dźwignęli wysoko, a wysoko.

Nieśli go: pierwszy fernal Darajczyk, fernal Banasiak, fernal Majkowski, fernal Unisławski, fernal Kałużny, fernal Zimny, włodarz Posilek, włodarz Kuczka, polowy Kaczmarek, stróż Ziajka, ręczniak Sobczyk, ręczniak Guźniak, furman Paterka, ogrodnik Pachula, stelmach Sikorski i kowal Szary.

Szli prędko z trumną, płynącą w żalobnym tryumfie nad ich głowami.

Kobiety nadążały z łoskotem spódników, ukrochmalonych na moc, a dzieci biegły steczką za rowem, sapiąc i pocąc się co siły.

— Idź z drugimi dziećmi steczką. Tam droga gładza, to cię nóżki nie zabolom — Prowadź go, Helcia, prowadź—mówiła Wityczka do młodszych dzieci — i biegła, dysząc za trumną, która jaśniała w żywym niebie, jak coś złote i skrzące.

Za wsią wszczął się duży wiatr, sypiący w twarze kurz. Zamykali więc oczy i szli oślepi — uchylając tylko niekiedy powieki, by widzieć drogę—Minęli kolonję Anielin i kolonję Helenów — a za Helenowem było już widać Tykadłowską wieżę.

Słychać było głosy dzwonu, lecz nie ciągle, bo wiatr je kradł i odrzucał.

Wielka pieśń ufnosci niewyczerpanej wzmogła się i wzniosła się aż ku skwarnym niebiosom i pod niemi wołała:

Kto się w opiekę poda Panu swemu,
a całym prawie sercem ufa Jemu —
śmieje rzecz może: mam obrońcę Boga
nie będzie u mnie żadna straszna trwoga,
żadna straszna trwoga.

Dzwignęli się na kościelny wzgóreczek i zamilkli.—Suwając się tu i tam i tupiąc uroczyście, wkraczali w ciche wrota.—W ogromnych drzewach przy kościele brzmiał chrzest, syk i szum wielkiego wiatru, od którego trzaskało w zawiasach, w ścianach, w krokwiach starej świątyni.

Postawili trumnę na katafalku tak ostrożnie i kłopotliwie, jakby się bali, żeby się biedny Wityk, co tak mocno upadł na polu, tu przynajmniej nie tłukł.

Proboszcz rzekł.

— Świętej pamięci Jan Wityk nastał do Rusocina po świętej pamięci Szymanderze i służył tu lat sześć, a gdzie indziej dwadzieścia. Nie znał życia, krom pracy i tak się tyż w tej robocie utrudził, że go Nasz Pan wezwał nagle, żeby ochłodzić go, jako są Jego Święte słowa. Za duszę świętej pamięci Jana trzy zdrowaś, trzy ojczenasz, trzy wierzę w Boga — amen.

Z wielkiem westchnieniem, klęcząc u ołtarza, zatoczył rękami, złożył je, aż klasnęły, i pocichutku się modlił.—Ludzie odmawiali modlitwy wyraźnie i wszyscy razem, — a kościelny chodził głucho koło ołtarza, gasił kapтурkiem świece.

Wychodzili z kościoła jeden za drugim, jeden za drugim, jeden za drugim, ustępując sobie, by się nie pchać.

Już było jakby wszyscy wyszli, lecz w pustych drzwiach znów się ktoś pokazywał i jeszcze szedł a szedł. Koło dzwonnicy siedział żebrak, modlący się głośno.

W prostaczej czci dla biedności schylali się idący i dawali mu swój grosz, a on pochylał czapkę i mówił:—

— A odpuść mu jego grzechy, imo, że niespodzianom śmierciom bez Noświntszego Sakramentu skoła — Panie Boże zapłać—Panie Boże zapłać. — A przyjmij go do prawicy, imo, że nagłom śmierciom upod—Panie Boże zapłać, Panie Boże zapłać—od nagły a niespodziany śmierci zachowaj nas Panie.

* * *

Gdy wszyscy już minęli, żebrak z pod kościoła, zabrawszy się ze swym kijkiem, też także dokądś ruszył.

Szedł sobie cały na ukos, jakby go wiatr z tej ziemi zmiatał, i zęgnął się, i śpiewał — ustając często, nabierając tchu.

Lecz śpiewał wciąż na suchym wietrzynym skwarze pieśń o duszy, rozstającej z ciałem.

— Gołębica już wylata,
szukający swego świata —
szukający pocieszenia
i swych grzechów odpuszczenia —
Lesie, lesie, przyjmij że mnie,
bo Pan Jezus nie wi o mnie.
I upadła na dębie,
dybiom na niom jastrzębie —
i upadła na wiśni,
Krogulec na niom myśli —

Zamilkł i zmówił po trzykroć „Wieczne odpoczywanie” — Poczem podjął, dysząc, swą odyseję duszy poszukującej:

Wodo, wodo, przyjmij że mnie,
bo Pan Jezus nie wi o mnie —

Krzyczał pod wiatr:

I upadła do rzeki, warły na niom szczupoki,
I upadła do jeziora, gonili jom do wieczora.

Aż nareszcie, łykając gorzki kurz, zakończył ów swój śpiew.

ogniu, ogniu przyjmij że mnie,
bo Pan Jezus nie wi o mnie —
I upadła do ognia, szukający ogrzania,
i nalazła płomienie —
już w tem ogniu nie zginie —

Dawno już nie szedł koło chałup, tylko wybrnął daleko po za wieś. Były tu zboża, miotające się płową falą na wietrze, który się rozbijał o dwie bardzo duże grusze—a też o zarośla na rowie.

Macając kijkiem, kłując na wyłot w jeżyny, w tarninę, w lekkie, jak złoty kurz, miotły przytulji, śpiewający dziadek wybrał miejsce, gdzie można było w ten zarośnięty rów nogą stąpić. Tedy, jak nie wiadomo dokąd szedł, tak nie wiadomo czemu iść przestał i na tym rowie sobie pod gruszkami usiadł. Wiatr tu nie zalał tak mocno—czasem tylko zatargał wszystkim zieleń, a małe dzikie gruszczyki spadały wtedy dziadowi na ramiona—hycaly po nim, jak żywe.

Siedząc w pachnącem zieleń mówił do siebie:—

— Jak tyż to urosło wszędzie, jak to urosło. Jako to ta zimia tutek tłusta.

Patrzył z wesołym uznaniem na olbrzymią kolącą szczec — na dzikie chmiele, uczipione do wszystkiego, co tu wzrastało, na białe powójki, spływające z tarniny, na śmierzdzącą różową wilżynę, na rumiany, pachnące dobroczynnie, na purpurowe maluteczkie goździki — na wszystko inne, bardzo kwitnące. Pochwalił całą duszą to bujne życie.

— Piękne lato — rzekł głośno —
Dzięką Bogu, żeśma doczekali. Dzięką Bogu. Dzięką Bogu.

Koniec

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824—26)

Od tej pory los nieustępliwego „poddanego” jest przesądzony: policja austriacka nie spuści zeń oka. Pętlę ma już na szyi, czekają tylko okazji, aby ją zacisnąć.

Jakby przecuciem tknięty, nie śpieszył się Confalonieri do ujarzmionej ojczyzny. Z listów żony dowiadywał się, jak tam w Medjolanie śpiewano *Te Deum* nowemu panu, jak piękne damy płały z oficerami austriackimi, ile tchórzostwa i pośludkości wypęzło z dusz ludzkich i jakim wstrętem napawało to wszystko mężną kobietę. Oboje mieli wrażenie wielkiej przegranej, ale oboje nie byli ludźmi, którzyby opuścili ręce. Może w poczuciu własnej winy i błędu arystokrata lombardzkiego, liczący do niedawna na Castlereagów i Talleyandów, idzie o zmroku do „jaskini lwa” starego, legendarnego rewolucjonisty, Filipa Buonarottiego. Ten prawuk Michała Anioła, który pod lwią grzywą ma łagodne oczy dziecka, wróg wszelkich tyranów (kiedyś tułaczów polskich serdeczny orędownik) trzyma rękę na pulsie buntowniczych drgawek, wstrząsających od czasu do czasu krzepnącą skorupę reakcyjnej Europy. Przyjmuje on po ojcowsku młodego rodaka. Rozgrzeje jego zmrózoną rozczarowaniem duszę ogniem nowych nadziei. Wprowadzi go w tajemne kurytarze wielkiego podziemnego bractwa. Ku jednemu wiodą celom, jakkolwiek zwa się różnie: „Carbonari: Adelfi, Fildelfi, Raggionanti, (prototyp naszych wileńskich Promienistych).

Z Paryża pojedzie młody Włoch do Londynu, zetknie się tam z koryfeuszami stronnictw liberalnych i rozmiłuje na życie całe w swobodach Anglii, w jej społecznych urządzeniach, w jej wysokiej a demokratycznej kulturze. Kiedy go podejrzliwy rząd wezwie do powrotu, stanie na ziemi rodzinnej, jako człowiek wyrobiony, ze skryształowanym światopoglądem: „Nieskończona jeszcze wielka walka”, a do tej walki stanie, jak szermierz godny, już nie o prawa jednego państewka, ale całego narodu, wyrósłszy o głowę nad prowincjonalne ambicje.

W sercu żony znajdzie najgłębszy, najbardziej entuzjastyczny oddźwięk. Teresa, jak każda kobieta zakochana, patrzy się na politykę oczyma męża, ale w uczuciu patriotycznym stoi z nim zupełnie na równi, gdyby on osłabł, onaby go podtrzymała. Całkiem inaczej w domu ojcowskim. Tam panuje radość z powodu dawnych łaskawych władców, tam uważają opozycję za zdrożne szaleństwo. Fryderykowi zaczyna ciążyć jego głośnie nazwisko. Wydaje „List otwarty”, w którym broni się od za-

rzutów, rozpowszechnianych w czasie jego nieobecności, współudziału w ruchach kwietniowych r. 1814. których epilogiem było zabójstwo przez motłoch ministra Priny. W zakończeniu listu wyraża się tak ostro o skrzywdzeniu Lombardji na kongresie wiedeńskim przez gwałtowne przyłączenie jej do Austrii, że władze urzędowe konfiskują pismo, a autorowi każą wyjechać do jednego ze swoich majątków.

Ta nielaska cieszy poprostu hrabiego. Obmyła go z wstrętnego przypuszczenia, jakoby on obalał Eugenjusza, aby kłaniać się potem Franciszkowi. Teresa tworzy na „wyznaniu” wiejskim środowisko najmiłsze, czyniąc z domu punkt zborny dobranego kółka przyjaciół. Są to: hr. Porro-Lambertenghi, przezacny filantrop, młody guwerner jego synów, miły, entuzjastyczny, wiecznie po uszy zakochany, obiecujący w wielki talent się rozwinąć Silwio Pellico, słynny już, a skromny i cichy poeta: Giovanni Berchet (serdeczny druh Mickiewicza później, na paryskim wygnaniu), Bianca-Milesi, malarka i społeczniczka, niezmiernej dobroci, a męskiego zgoła hartu, śliczna Matylda Dembowska, ubóstwiana przez Stendhala, wdowa po polskim generale, w wątem ciele bohaterska dusza... Oni i inni podobni im ludzie z różnych sfer i różnego wieku napęniają cichą wilę nad jeziorem Como gwarem wesołym i młodzięcym, wybuchając czasem namiętnymi sporami, które łagodzić musi uwielbiana przez wszystkich pani Teresa. Mimo niezgody w szczególnych poglądach jest jeden cel, który łączy wszystkie dusze, brzmi on w powtarzanych ukradkiem wierszach wielkiego poety Mauroniego: *Siam Italia, fratelli siam tutti!*

Na wiosnę 1816 r. pojechali oboje w podróż—zagraniczną, choć po własnym kraju, z trudnością zdobywszy pasport. Był to najpiękniejszy okres ich życia. W kwiecie wieku i sił, królewską jaśnieją urodą, złączeni jednym wielkim pragnieniem i rozumiejący się bez słów. Osobiste uczucia zamarły na chwilę wobec ważności Sprawy. Oto leżała przed nimi ich oczyma ojczyzna niewypowiedzianie piękna, a bezgranicznie nieszczęśliwa. Była, jak ogród kwitnący, wydany na łup koniom barbarzyńskich najeźdźców. Szli oboje nawiązywać tajemną sieć, któraby połączyła rozdarte sztucznymi granicami ziemie, szli dosłuchiwać się tętna serc, bijących tą samą, co ich serca, nadzieją. Kiedyś, w mroku Spilberskiej kazamaty zjawi się obraz tej podróży, jak wizja rajska, oczom więźnia i pióro,

spisujące ukradkiem wspomnienia, wypadnie mu na chwilę z ręki:

„Wiosna była, Tereso moja, i jechaliśmy razem. Ileż wspomnień dla twego biednego serca, ileż powstaje ich w mojem!”

Jechali przez Parmę, Bolonję i Florencję do Rzymu, potem bawili dłuższy czas w Neapolu, objechali Sycylię i Kalabrię. A za każdym ich krokiem szedł szpieg austriacki i notował.

Do Wiednia i do Medjolanu biegł raport za raportem, donoszący, że hrabstwo, gdziekolwiek staną, zwykli się zabawiać w „najgorszej kompanii”, nawet gdy w arystokratycznych znajdą się salonach, skupia się około nich kółko „przewrotnych apostołów niepodległości” i „malkontentów wszystkich krajów”.

Z Rzymu donosi konfidencjalnie monsignor Pacca, dyrektor policji papieskiej, o zdrożnych dyskusjach, jakie wiodą ci niepożądani podróżnicy, spotykając się z cudzoziemcami, zwłaszcza Anglikami w salonach, słynnych z wdzięku i patriotyzmu pań Orynlji Sacratii-Romagnoli i Kornelii Martineti. O rządach, a zwłaszcza o austriackim, wyrażały się te „indywidua” nieinaczej, jak w tonie gorzkiego sarkazmu, epokę obecną zwały niewolą, a nie życiem. To dziwne, że wtórował im taki dystygowany dyplomata, jak kawaler Tambroni... (znany w Warszawie za czasów Księstwa autor 2 tomowej Historji polskiej.)

W Neapolu polecili władze austriackie podejrzanym wojażerów troskliwej opiece swojego posła przy dworze burbońskim, ale zawiodły się wielce. Ks. Ludwik Jabłonowski, polak, silnie wpawdziej zaustriaczony i dość słabego charakteru, miał jednak maksymy literalne, niezgodne zgoła z jego stanowiskiem. Na kongresie wiedeńskim był on jednym z niewielu Polaków, którzy z serdeczną czcią pośpieszyli do zapomnianego starego wodza: Kościuszki. On i jego żona, wykształcona i subtelna ks. Karolina z Woynów, związały się wnet z „podejrzaną” parą włoską przyjaźnią serdeczną i wśród kosmopolitycznego światka, „przypominającego wieżę Babel”, stanowić będą czwórke nierozłączną, którą uzupełni młoda siostra księżnej „la buona Sofia” i przyjaciel Confalonieriego, wybitny patriota tokański, a najmiłszy światowiec, margrabia Gino Copponi.

Wnet raporty policyjne napęniały się plotkami szydercami, że „Italiannissimo” dał się uwikłać w sieć „Austriaczki”, a książę Jabłonowski woli nadskakiwać pięknej włoskiej pani, niż dawać baczenie na cel podróży podejrzanym osobnikom.

(c. d. n.).

K. Bielańska.

2) CEL I ZADANIA PEDOLOGJI

Pobudzeni przykładem innych, zachęcenie własnymi obserwacjami, niewątpliwie wciągną się też z czasem pojmujący swoje zadania wychowawcy do metodycznego notowania własnych spostrzeżeń, a tem samem nietylko wykorzystają wyniki nauki, czerpanej od obcych, ale sami przyczynią się do jej zbogacenia.

Już w r. 1881 Preyer w książce swojej: „L'âme de l'enfant” szczęśliwie zachęcił matki do zaprowadzania „dzienniczek”, celem notowania w nich najdrobniejszych objawów, znamionujących kolejne etapy rozwoju umysłowości dziecka. Pomysł jego rozpowszechnił się wkrótce, bogacąc naukę wielu cennymi przyczynkami, a zarazem zapoczątkowując nową gałąź nauki — pedologję, której dotychczas nie znano, zaś równocześnie z nim w Ameryce Stanley Hall zainicjował propagandę na rzecz reformy pedagogiki, którą pragnął oprzeć na psychologii i psychofizjologii dziecka. W 1893 zorganizował Hall pierwszy Związek narodowy dla studentów nad dzieckiem. (National Association for the Study of Children) oraz wydawać zaczął pismo: *Pedagogical Seminary*, poświęcone specjalnie psychologii wieku dziecięcego. W tym samym mniej więcej czasie (w 1895) w Anglii, James Sully, autor pięknej, przełożonej też na język polski, książki, „Dusza dziecka”, założył *Child Study Association* (T-wo badań nad dzieckiem) oraz pismo: *The Paidologist* („Pajdolog”). We Francji, gdzie teren przygotowany był już oddawna przez Taine'a, Perez'a, Compayre'go i Queyrat'a, nowy, silny impuls rozwojowi psychologii dziecka dał Binet, dyrektor laboratorium psychologicznego w Sorbonnie, ogłoszeniem prac swoich w *Bibliothèque de Psychologie et de Pedagogie*. Binet był też pierwszym kierownikiem naukowym, założonego w 1900 przez Buisson'a, „Société libre pour l'étude psychologique de l'Enfant”. Członkami T-wa tego są wychowawcy, zbierający się periodycznie celem wzajemnej wymiany spostrzeżeń swoich i doświadczeń, ogłaszanych potem w specjalnym organie T-wa: „Bulletin”. Binet był też pierwszym, który w 1905 urządził przy jednej z początkowych szkół paryskich doświadczalne laboratorium pedagogiki normalnej. Założeniem i celem laboratorium tego było przeprowadzanie, w myśl metod naukowych, studiów nad cechami i uzdolnieniami fizycznymi, umysłowymi i moralnymi wychowawców, a nadto wyprobowywanie metod nauczania. W Rosji słynny pedagog, Sikorski pracą swoją o sposobach mierzenia znużenia umysłowego uczniów, ogłoszoną w 1870 r. w paryskich *Anna-*

les d'Hygiène publique położył podwaliny psychologii eksperymentalnej, zaś w 1900 r. założony został w Petersburgu i świetnie pod kierunkiem Nieczajewa prowadzony Instytut Psychologii Pedagogicznej. — W Belgii, gdzie Schuyten już w 1889 założył w Antwerpii laboratorium pedagogiczne, związane ze szkołami komunalnymi, wprowadzono kurs pedologii do szkół normalnych w 1905 w Brukselli, zaś w 1906 w szkołach normalnych prowincjonalnych w Charleroi i Mons, gdzie kierowniczką kursów tych była uczona rodaczka nasza, dr. Joteykówna, obecnie kierowniczka pracowni Psychologicznej przy Instytucie Pedagogicznym w Warszawie. W Niemczech w 1896 założone zostało przez Trüpera, Kocha i Ufera czasopismo, *Zeitschrift für Kinderforschung*, obejmujące obecnie całokształt pedologii, a pierwotnie poświęcone tylko jednemu jej działowi: wadom wieku dziecięcego, stąd nazwa jego pierwotna *Kinderfehler*. Pierwszy też kongres pedologów zwołany został w Berlinie w 1906 r.

Wszystkie zapoczątkowania powyższe okazały się nader szczęśliwymi i owocnymi w dalszym swoim rozwoju, dzięki czemu dzisiaj już, zarówno literatura, poświęcona pedologii, jak, przede wszystkim, najcenniejsze na tem polu prace doświadczalne, przeprowadzone w pracowniach specjalnych i ogłaszane drukiem w oficjalnych ich organach, dają najszerszemu ogółowi możliwość oparcia doniosłego zadania swojego na niezawodnej podstawie naukowej.

Zadaniem szeregu artykułów, które stanowią będąc ciągiem dalszym niniejszego i które pismo nasze ogłaszać będzie w periodycznych odstępach, ma być właśnie oświecanie poszczególnych dziedzin pedologii, dzisiaj tak już rozgałęzionej, że każdemu poszczególnemu zakresowi specjalne należy poświęcić studjum.



II.

WYCHOWANIE NAJMŁODSZYCH.

Wbrew utartym pojęciom dotychczasowym doszła pedagogika współczesna do przeświadczenia, że najważniejszym okresem wychowawczym jest wiek przedszkolny, na który przypada właściwe urabianie się przyszłego człowieka. Pod tym względem rozbieżne są też najzupełniej poglądy rodziców z wnioskami, do których doszła pedologja. Bowiem w wieku, w którym, wedle pojęć rodziców, rozpocząć dopiero należy wychowanie dziecka, winno ono być w myśl pedologii współczesnej nieomal już zakończone.

Ścisłe przeprowadzone badania wykazały, że w żadnym okresie późniejszym nie uczy się dziecko tak wiele, nie zdobywa takiego zasobu obserwacji i pojęć, nie zbogaca umysłu swojego taką sumą poznania, jak w okresie najwcześniejszym, w okresie niemowlęctwa oraz w wieku przedszkolnym. Już w najpierwszym tym okresie życia dziecka sposób jego wychowywania przyczynia się do rozstrzygnięcia tak zasadniczych kwestji, jak fakt, czy będzie ono miało w przyszłości jasne i dokładne, czy mgliste lub zgoła fałszywe pojęcia o świecie, czy obserwacje jego będą ścisłe czy pobieżne, czy będzie prawdziwe czy kłamliwe, zgodne czy kłótlive, posłuszne czy uparte, skromne czy zarozumiałe i pyszałkowane.

Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby wychowanie miało być czynnikiem jedynym i wszechpotężnym, jak przypuszczano w pewnym okresie, aby dziecko nowonarodzone traktować należało jak miękką glinę, z której dobra wola i umiejętność wychowawcy dowolną może ulepić treść i formę. Pedagogika współczesna znacznie jest w swoich uroszczeniach skromniejsza. Wie ona, że żadna teoria wychowawcza nie może sama przez się przynieść zbawienia światu, bowiem nietylko zabiegi pedagogiczne, ale tysiące przypadkowych, niezależnych od nas wpływów i czynników zewnętrznych przyczynia się do kształtowania ciała i duszy dziecka, które nadto na świat już przychodzi, dziedzicznie i atawistycznie obciążone skłonnościami i właściwościami, których wychowanie doścześnie wykorzystać nie jest w stanie.

(c. d. n.).

Emilja Tecka.

SPROSTOWANIE. Prostujemy dwa błędy, które wkra-
dły się do numeru poprzedniego: 1) *pajdos* — znaczy:
dziecko, a nie: dziecko; 2) *in anima vili*, a nie: *in animā*
vilis. T. G.

4)

KAZIMIERZ ROGALA-KOSIŃSKI

KOBIETA KRAJU WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

*)

日本女
カ
コン
シ
スキ

1. Ruchliwość, postęp i subtelność kobiet japońskich w życiu kultur.-społecz. 2. Księżniczka Yoruri imieniem swem daje nagłówek pierwszego rozdziału historii teatru japońskiego. 3. Recytatorki gideyu panna Takemotto-Qynoske i pani Suminoske. 4. Śpiewaczki posiadają przywilej odtworzenia legend narodowych. 5. Olbrzymia popularność romansów o tle obyczajowym. 6. Kobiety i duchowni traktowani są jak w fabuleuse. 7. Miłość bez treści duchowej. 8. Zemsta tragiczną namiętnością. 9. Rodzina w Japonii jest arką świętą. 10. Zalotnica — bohaterka sztuki. 11. Zalotnica znienawidzona przez inne kobiety. 12. W hierarchii zalotnic najwyższe miejsce zajmuje geisha. 13. Kobieta w Japonii zepchnięta na drugorzędne stanowisko. 14. Geisha japońska — to kurtyzana chińska. 15. Warunek przyjęcia do towarzystwa kurtyzan. 16. Kurtyzana — kobietą niezależną. 17. Rzemiosło kurtyzany jest tak dobre, jak każde inne. 18. Zawód kurtyzany nie jest wywołany tragedią życia. 19. Kurtyzana, oddając swe ciało, pozostawia dla siebie własną duszę. 20. Wyższość kurtyzan. 21. Liczne małżeństwa z kurtyzanami. 22. Zwyczaj wchodzenia w związki małżeńskie. 23. Wpływ kurtyzan na moralność mężczyzn. 24. Li Konfucjusza. 25. Japonka odzyska wolność dzięki kurtyzanom.

Najbardziej postępową i ruchliwą z pośród kobiet, zwłaszcza w kierunku emancypacji, jest kobieta japońska.

Wobec tego, należy zwrócić szczególną uwagę na fakt wielkiej wagi w dziejach kultury synów (mus'ko) kraju wschodzącego słońca, że pierwszy teatr japoński bierze początek od tak zwanej Yoruri, pochodzącej z wieku szesnastego naszej ery, od mądrej księżniczki tego imienia, która rzekomo na prośby słynnego księcia (daimyoo), Oda Nabunaga, zapalonego miłośnika bajek, opracowała nanowo starożytne tematy. Aczkolwiek istnienie księżniczki Yoruri jest problematyczne, imię jej stanowi jednak niejako nagłówek pierwszego rozdziału dziejów teatru japońskiego.

Po wydoskonaleniu teatru lalek (yoruri) albo inaczej t. zw. marjonefek, powstaje w Osaka teatr gideyu, który obecnie przypomina europejski café-concert, albo café-chantant. Najlepszymi wykonawczyniami gideyu-gideyu-Katari

są kobiety, które sztukę recytowania doprowadziły do najwyższej doskonałości. Najsławniejszymi obecnie recytatorkami w Japonii są: panna Takemotto Aynoske i pani Suminoske — ta ostatnia zwłaszcza jest wprost niezrównaną w wygłaszaniu utworów dramatycznych.

Ponadto co wieczór ogrody publiczne, kawiarnie i wszystkie miejsca, gdzie się zgromadzają tłumy ludu, są polem popisu mnóstwa śpiewaczek, stanowiących obszerne stowarzyszenie. Śpiewaczki (geishe) i tancerki (geiko) chodzą po domach i produkują się publicznie. Mężczyźni nie śpiewają nigdy; nie znaczy to bynajmniej, by japończycy nie lubili muzyki — nie, naodwrot lubią ją niezwykle, zwłaszcza obecnie przepadają za muzyką europejską, lubując się Mozartem, Chopinem, Wagnerem i wielu innymi, lubią śpiew, oraz grę na skrzypcach i fortepianie, na których z wielkim poświęceniem i pietyzmem uczą się grać tak dobrze, jak uczono ich grać w dzieciństwie na fletach, sporządzanych z bambusu. Można powiedzieć śmiało, że geishe właśnie posiadają specjalny przywilej odtwarzania romansów i legend narodowych, a najgłośniejsze z nich występują przy akompaniamencie orkiestry i dają prawdziwe przedstawienia, w których dźwięk muzyki łączy się z interesem dramatycznym.

Poza teatrem, biorą udział kobiety japońskie w życiu literackim, a nawet zajmują się kolportowaniem literatury, która im specjalnie przypada do gustu, zwłaszcza większa część romansów, posiadających tło obyczajowe czasów nowszych. Tego rodzaju romanse cieszą się w Japonii olbrzymią popularnością nie tylko pomiędzy kobietami, ale również i mężczyznami. Autorzy tych romansów odtwarzają zazwyczaj z całą ścisłością sceny z życia rzeczywistego i współczesnego, nie zatrzymując się nigdy nad wypadkami, które opowiadają, nie wdają się również w żadne subtelne analizy uczuć i osób, a mają na celu jedynie zewnętrzną niejako stronę opowieści, t. j. powiązanie faktów, podanie dialogów i powierzchowną charakterystykę osób. Intryga toczy się zwykle w sferze walk namiętności z obowiązkiem.

Kobiety japońskie i duchowni tak w życiu, jak również i w literaturze, traktowani są podobnie, jak we francuskich fableux. Plotki, obmowy, łotrostwa kumoszek, świętoszkowata poządliwość kaznodziejów buddyjskich, zręczność starych bonzów w łapaniu na słówka, oszustwa mnichów i geish, kłopoty małżeńskie i zazdrość teściowych wprawiają czytających czy też słuchającą publiczność w teatrze w taki zachwyt, że

skacze z radości; wskutek tego mimowolnie przychodzi na myśl ekspansywna, drwiąca ludność Turenji.

Na wschodzie miłość, ani w rzeczywistości, ani też w sztuce nie ma cech uduchowienia; zemsta jest namiętnością tragiczną par excellance, tematem wszystkich bez wyjątku arcydzieł literatury japońskiej. Jeżeli bowiem w grę wchodzi inne uczucie, to jedynie tylko dla kontrastów.

Zaznaczyć należy, że literatura komiczna Japończyków zwiększa się ciągle i doskonalą coraz bardziej, odtwarzając głównie życie rodzinne, chociaż zbyt jednostronnie. Rodzina w Japonii jest arką świętą, której odkrywać bez profanacji nie można. Matka, dziewczica, żona obracać się muszą w granicach bardzo zacieśnionych, swobodne wogóle są niewolnicami w sferze uczuć. Ponieważ dramat i komedia bez bohaterów obejść się nie może, przeto autor japoński szukać ich musi wśród tych kobiet, którym konwenanse społeczne pozwalają na zupełną swobodę serca.

Wobec tego zawsze tylko zalotnica jest bohaterką sztuki japońskiej, a autorzy nie mają dla niej żadnej litości; z góry skazaną jest na ofiarę; wszystkie krzywdy, wszystkie zniewagi znosić musi, nikt jej współczuć, nikt jej podnieść i uszlachetnić nie usiłuje. Wskutek fatalności losu zalotnica japońska skazana jest na niedolę i nędzę moralną, gdyż sprzedana zwykle przez ojca w latach dziecięcych, jest znienawidzoną przez inne kobiety, które zazdroszczą jej zbytku, wszelkich rozrywek i przyjemności życia, a społeczeństwo odnosi się do niej z nieubłaganą pogardą tak w życiu, jak sztuce, lubując się w jej upodleniu. Jej boleść, łzy, rozpacz społeczeństwo przyjmuje wybuchami ironicznego śmiechu, mając dla uciśnionych ofiar nieubłagane okrucieństwo ludów pogańskich. W hierarchii takich zalotnic najwyższe miejsce zajmuje geisha, śpiewaczka, ciesząca się pewnymi przywilejami, na mocy których może rozporządzać swoją osobą podług własnej woli, a nawet ma prawo odmówić wówczas, kiedy zechce. Shamishen lub Koto wystarczają zawsze do nasycenia chciwości jej panów, a właściwie władców. Role jej są zazwyczaj bierne, gdyż kobieta japońska wogóle tak w życiu, jak i w sztuce zajmuje w przecudnym kraju wschodzącego słońca stanowisko drugorzędne.

Geisha japońska odpowiada ściśle kurtyzanie chińskiej, która gra rolę rzeczywistej bohaterki w dramacie chińskim, a której ze względu na osobliwość typu należy poświęcić specjalnie słów kilka tembardziej, że jest ona bohaterką bardzo, a nawet niezwykle bogatej literatury powie-

*) Tytuł i nazwisko autora.

ściowej, jak chińskiej, tak również i japońskiej. Chinolog francuski Bazin twierdzi, że kurtyzana chińska w zupełności odpowiada pod każdym względem geishy japońskiej. Nie należy jednak mieszać chińskich kurtyzan uczonych z temi, które, jak mówią poeci, *étaient publiquement le sourire et courant après la volupté*. Aby młoda dziewczyna mogła być dopuszczoną do towarzystwa kurtyzan w kole zielonym i czerwonym, gdzie się wzajemnie one siostrami (*tsemei*) nazywają, musi być przede wszystkim piękną, inteligentną i bardzo wykształconą, śpiewać, tańczyć, grać na flecie i na *shamishenie*, znać historję i filozofję, a w dodatku umieć pisać wszystkie charaktery z *Tao-te-Kingu*. Po przebyciu kilku miesięcy w „pawilonie kwiatów”, gdy już umie tańczyć przy dźwiękach *senghoangu* i śpiewać półgłosem z kastanietami sandałowymi, wówczas staje się kobietą wolną, t. j. oswobodzoną od zwykłych obowiązków swej płci i stoi ponad młodą dziewczyną, zależną od ojca, ponad konkubiną legalną, która zależy od swego pana, ponad żonę prawną, która zależy znów od syna.

„Kurtyzana chińska — pisze inny chinolog G. Schegel — różni się znacznie od swej siostry europejskiej, którą nędza i uwiedzenie doprowadziło do stanu, będącego w pogardzie świata. W Chinach i Japonji kurtyzany rekrutują się wyłącznie z dziewcząt ładnych, które jeszcze, jako dzieci, kupują handlarze od rodzin ubogich. Wychowane od wczesnej młodości w domach rozkoszy, dziewczęta te nie znają po większej części żadnego żalu, ani też wstydu wobec swego położenia. Jest to dla nich rzemiosło tak dobre, jak każde inne, a ponieważ nie są one, jak w Europie, zatrute niepokojami sumienia, nienawiścią przeciwko swoim uwodzicielom i pogardą publiczną, przeto zostają kobietami uczciwymi o tyle, o ile to jest możliwe w ich warunkach życiowych.”

Kurtyzana chińska czy też japońska oddaje swoje ciało, zachowując dla siebie jednak własną swoją duszę. Kurtyzana chińska, uczona, dobrze wychowana, wykarmiona na księgach starożytnych mędrców, oczyszczona przez studia nad poezją, a wygładzona przez obcowanie z młodymi ludźmi najwyższej klasy inteligencji uczonnej, jest wyższą od Chin ki uczciwej, ale głupiej i ordynarnej. Stąd też taka mnogość małżeństw Chińczyków uczonych z kurtyzanami, które, wyszedłszy za małż, są skarbem uczucia dla samych mężów i bezgranicznego poświęcenia dla dzieci. Jako dobre żony i niezwykle wprost matki, są one często stawiane wyżej od niewiast z zacnych domów, te bowiem, zamknięte od siódmego roku życia w apartamentach wewnętrznych, oddają rodzice mężom, których one

przedtem wcale nie znały, i którzy ich nie znali również. Jeżeli wówczas dziewczę japońskie czy chińskie nie może się nauczyć kochać swego męża, a ponadto jeśli nie posiada zupełnie zasobów ducha, któreby mogły go utrzymać, wówczas pozostaje dla niej tylko obowiązek, a ten bez miłości jest bardzo smutny. Kurtyzana miała oddawna wpływ wielki i zba wienny na moralność Chińczyka czy też Japończyka, gdyż tylko w jej towarzystwie mógł on znaleźć miłą i rozumną rozmowę, która gdzieindziej była niemożliwą, gdyż obrzędy nie pozwalają na mieszanie się obu płci. Bez kurtyzan Chińczycy i Japończycy byliby tak brutalni, jak szlachetni francuzi, zanim markiza de Rambonillet otworzyła swój salon.

Taki jest ustrój społeczny w Chinach i Japonji dzięki nieszczęsnym Li Konfucjusza. Li pochodzi z czwartej księgi kanonicznej Li-Ki. Pierwszy z tych wyrazów Li oznacza obrzędowość w najobszerniejszym pojęciu tego słowa, drugi zaś Ki znaczy „rejestr, spis”. Li były przedmiotem specjalnych dzieł już w odległej starożytności. Dwa z nich przechowane do czasów Konfucjusza, stały się podstawą dla Li-Ki. Li najgłówniej odróżnia ludzi od zwierząt, bez Li człowiek nie może mieć spokoju. Wreszcie księga ta wylicza prawa i obowiązki względem rodziców, osób starszych, wyższych i obcych oraz gości zwyczajnych i żałobnych, tytuły, pokłony, wyrażania pokory, skromności i t. p. Przed wiekami dla książąt prawem najwyższem była miłość ludzi, potem przypisywano wielkie znaczenie obrzędowi Li, opartym na czci; miłość i uszanowanie stanowią podstawę do ćwiczenia się w sprawiedliwości. Wreszcie jedno ze zdań Konfucjusza naucza, jak Li kładzie tamę wszelkim przekroczeniom ludzi zarówno w złem, jak i w dobrem, sprowadzając ich na drogę umiarkowania rozsądnego. Prawda, że słynniejsi pisarze chińscy i japońscy piętnują zawód kurtyzan, i że kodeks nawet zabrania z nimi stosunków urzędnikom cywilnym i wojskowym, ale na wyklęcia, pioruny i groźby nikt nie zwraca zbytnio uwagi, a ogół chiński i japoński dopóty będzie lgnął do kurtyzan, dopóki kobieta uczciwa nie zdobędzie dla siebie praw ludzkich. To też wątpić nie należy, że właśnie dzięki kurtyzanom kobieta japońska i chińska odzyska wolność, o którą walczy systematycznie i wytrwale od szeregu lat.



Z NASZYCH UZDROWISK

Sezon Kuracyjny w Inowrocławiu cieszy się od lipca zwłaszcza i w r. bieżącym wybitnem powodzeniem. Frekwencja gości ze wszystkich ziem Polski wyraża się w paru tysiącach osób, a w tem zaledwie 1 proc. semickiej mniejszości narodowej w kraju, co należy do osobliwości tego uzdrowiska. Na ten Stan rzeczy składa się w pewnym stopniu i sąsiedztwo Ciechocinka, który się stał salonem letnim tej kategorii mieszkańców naszego państwa. Okoliczność ta sprzyja tu umiarkowanej stopie cen tak kuracyjnych, jak i żywnościowych. W pierwszorzędnych restauracjach obiad z trzech dań wynosi tu 1 zł. 20 gr., porcja po tejże cenie. Nabiał: masło i mleko po 1 zł. 60 gr. funt i 18 gr.; owoce w znacznej obfitości tak w dowozie na rynek miejski, jak i u ogrodników miejscowych. Co do mieszkań, to według taksy wynoszą: 2 zł. pokój pojedynczy, 3—4 dwuosobowy z pościelą na dobę. Kuracjusze poszukują pomieszczeń najchętniej w obrębie strefy sanacyjnej Zakładu Miejskiego, gdzie, jak obecnie w pełni sezonu, już zamienny brak ich uczuwać się daje, co od sierpnia ulegnie poprawie. Okoliczność tą biorąc pod uwagę, dbały czujnie o dobro gości Zarząd Komisji Kąpielowej Miejskiej zamierza przystąpić w najbliższym czasie do budowy specjalnego domu w bliskości Zakładu miejskiego wśród zieleni łąk i pól, zdala od miasta. Obecnie w pięknej ul. Solankowej oraz Alei bogato zadrzewionej, w każdym domu mieszkańcy stali Inowrocławia przyjmują chętnie u siebie kuracjuszy z utrzymaniem lub bez, do umowy. — Znaczny jednak procent kuracjuszy lokuje się w mieście, niespełna pół kilometra od zakładu, gdzie znajdują się pokoje i po 1 zł. od osoby bez trudu. Kąpiele w cenie: solankowe 2 i pół zł., węglkowe 4 zł., borowinowe błotne 3—4 zł., taksa kuracyjna 10 zł. — Tyle o warunkach kuracji i utrzymania.

Jako środki lecznicze ma Inowrocławskie uzdrowisko solankę, ług i borowinę. Solanka posiada w swym składzie wielkie własności lecznicze, jak chlorek, bromek, jodek i siarczan sodu, chlorek i siarczan potasu, siarczan i węglan wapna, chlorek magnezyj i węglan żelaza, sole jodobromowe w ługu, dolewany do solanki, oraz płynny kwas węglkowy, doprowadzany do wanień, co stawia lecznicze właściwości Inowrocławia na jednej stopie z uzdrowiskami w Nauheim, Ocynhausen i Kissingen. Borowinę czerpie się tu z błot miejskich, zawierających znaczną ilość związków żelazistych i soli surowych.

Solankowe kąpiele tutejsze są wskazane przy wielu cierpieniach, jak

skrofuły, astma, reumatyzm, artretyzm, choroby skórne, kości, stawów, oczu, w porażeniach i nerwobólach, przy chorobach kobiecych, błony płucnej i brzusznej, narządu oddechowego i serca, przy zastosowaniu Nauheimskiego systemu gazówki węglowej.

Błogosławione skutki kuracji w chorobach dziecięcych spowodowały założenie w Inowrocławiu zakładu specjalnego dla dzieci, jeszcze za czasów niemieckich. Dziś nosi on tu nazwę marszałka Focha.

Sezon kąpielowy w Zakładzie Miejskim trwa od połowy maja do końca września. Porady udzielają liczni lekarze miejscowi.

Prócz zakładu miejskiego posiada Inowrocław i dwa zakłady prywatne, pod firmą Piast, jako własność grona lekarzy warszawskich, wykupione z rąk obcych w latach ostatnich. Zakłady te (przy ul. Toruńskiej i Staszica), przyjmują gości z pensjonatem na miejscu. Wykwintne, zdrowe utrzymanie całkowite wraz z poradą lekarską, masażem i kąpielami wynosi 12 zł. dziennie. Goście zakładów Piasta, niezbyt oddalonych od Miejskiego, korzystają ze spacerów, muzyki i t. p. atrakcji sezonowych tegoż.

Z rozrywek tego uzdrowiska są reuniony tygodniowe, teatr stały, koncerty, a zwłaszcza wycieczki do Kruszwicy z przejażdżką po Gopie, do Gniezna, Torunia, Bydgoszczy i in. miejscowości tej prastarej dzielnicy Polski.

Drogocenną patyną wieków jest tu pokryty jeden z pierwszych kościołów katolickich w Polsce pod wezwaniem Marii Panny, noszący nazwę „Ruiny” od uszkodzeń za najazdów szwedzkich. Tu mamy przepiękny ołtarz M. Boskiej, przed którym modliła się królowa Jadwiga, czerpiąc swe natchnienia do przepowiedni o pogromie Krzyżaków.

Cisza, spokój, brak swarliwej wrzawy kuracjuszy, którzy tu nie czują się dobrze, czy nie nazbyt wesoło na kuracji Inowrocławskiej, dla spragnionych jednak oddechu szczerze polskim powietrzem i wytechnienia po trudach szarpaniny wielkomiejskiego życia, czynią z tego uzdrowiska prawdziwą oazę na wzburzonym morzu rozdzwiązków polskiego życia. Gorliwym przeto usiłowaniami Członków Komisji Kąpielowej Miejskiej pod rządami prez. d-ra Krzywińskiego z pp. radcą Babiszewskim i dyr. Kortusem, wróżyć trzeba powodzenie należne.

M. C. Przezw.



POSŁANKI SZWEDZKIE.

Czytamy w piśmie szwedzkim „Hertha”, poświęconem sprawom kobiecym, że parlament szwedzki liczy obecnie 5 posłanek. Są to: pani Elżbieta Trumm, ziemianka, wybitna rolniczka; pani Riestin Hesselgren, Bertha Welin, Agela Ostlind i Nelly Thiiring.

GRECY, KOBIETY, A ROK 1924.

Z okazji zwycięstw, odniesionych przez sportsmenkę Miss Bauer podczas tegorocznych igrzysk olimpijskich, amerykańskie pismo „The Nation” pisze co następuje:

„Grecy z IV i V wieku przed Chrystusem nie byli bynajmniej feministami. Igrzyska olimpijskie — ulubione przez ich bogów — były przyznane tylko ściśle dla mężczyzn. Kobietom nie wolno było brać w nich udziału. nie tylko w charakterze uczestniczek, lecz nawet widzów. Nie pozwalano im nawet zbliżyć się do miejsca, na którym odbywały się igrzyska.

W IV wieku naszej ery ustały te olimpijskie zapasy, aby zmartwychwstać ponownie w 1896 r. bo od tego czasu, co każde 4 lata (z wyjątkiem 1916 r.) odbywają się międzynarodowe „olimpiady” w najrozmaitszych miastach cywilizowanego świata. Kobiety są do nich dopuszczane i jako widzowie i jako uczestniczki — brały one jednak dotychczas udział tylko w zapasach różnych drużyn sportowych kobiecych i sława ich zwycięstw nie nabierała zbyt wielkiego rozgłosu.

Teraz jednak sytuacja uległa nagle zmianie. Pojawiła się kobieta, która zdystansowała nie tylko wszystkie współzawodniczki swojej płci, ale i wszystkich współzawodników — mężczyzn. Ani jeden z rekordów światowych nie wykazał dotychczas zwycięstwa, któreby zaćmiło rekord osiągnięty przez pannę Sybilę Bauer. Oczywiście, p. Bauer teraz ma prawo żądać, aby ją zaliczono do rzędu fachowych zapaśników igrzysk olimpijskich. Cóż jednak się stanie z całą wiekową tradycją starożytnych Greków? Czyż po 2500 lat wyłącznie męskich zapasów ma teraz do nich być dopuszczoną kobieta — kto wie, czy nie poto jedynie, aby zwyciężyć mężczyzn ku wieczystej ich hańbie wśród potomności? Czyż sam ojciec bogów, wielki Zeus, nie jęknął ze zgrozy na taką profanację ulubionych przez niego zabaw?

Pocieszmy się myślą, że zwycięstwo panny Bauer jest zaledwie skromniutką ingerencją w dotychczasowe święte nietykalne prawa mężczyzn, jako lepszej i dzielniejszej połowy rodzaju ludzkiego. Jednakże ta drobnostka daje pole do interesujących rozmyślań... Kobiety w starożytnych Atenach nie miały możliwości pracować nad ćwiczeniem swej zręczności i swych mięśni. Dzisiejsze kobiety również zaledwie od bardzo niedawna biorą udział w drużynach sportowych, o zawodowym zaś traktowaniu przez nie lekkiej atletyki nie było bodaj dotąd mowy. Lecz jeśli wypadki w przeciągu najbliższych lat 20-u pójść dalej tempem, jakim się toczyły przez poprzednie lat dziesiątek — to kto wie, czy w roku pańskim 1944 nie będziemy czytali w którymś z najważniejszych pism amerykańskich wzmianki tej mniej więcej treści:

„Sporty są rozrywką, której holdują przeważnie kobiety; nic więc dziwnego, że większość nagród na tegorocznych konkursach uzyskały niewieście zapaśniczki różnych krajów. Jasne jest, że siła fizyczna, narówni z innymi niższego rzędu przymiotami, jako to: zręczność, szybki bieg, wyrobione mięśnie i t. d. — nie są cechami, któreby pragnął i potrzebował w sobie rozwijać prawdziwy mężczyzna. Tem niemniej, podnosimy z przyjemnością i uznaniem udział naszych amerykańskich kobiecych drużyn sportowych w tych konkursach i t. d. i t. d.

MODA WŁOSKA.

Obecna moda niewieścia, która wymaga od elegantek raczej... rozbierania się, niż ubierania — wywołała zupełnie słuszną reakcję wśród przeważnej większości społeczeństwa włoskiego. Z inicjatywy kilku stowarzyszeń społecznych, przedewszystkiem zaś Ligi Opieki nad moralnością, powstał komitet do opracowania modeli sukien kobiecych, skromnych a wytwornych, opartych na narodowych wzorach włoskich. Komitet pozostaje pod honorowym patronatem królowej — wdowy Małgorzaty, a w skład jego wchodzi wielu wybitnych artystów.

Czyż i w naszym społeczeństwie nie znalazłby się nikt, kto by wystąpił z podobną inicjatywą i — co najważniejsze — potrafił doprowadzić ją do skutku? Tyle razy słyszało się już o tem — a jednak dotychczas nasze strojnisię szukają dla swych toalet jedynie wzorów obcych — narzucanych nam przez firmy paryskie lub wiedeńskie.

ROBOTNICE W GRECJI.

„La Française”, organ Narodowej Rady Kobiet we Francji, zamieszcza obszerny artykuł o pracy kobiet w przemyśle w Grecji. Artykuł ten, oparty na statystyce, ogłoszonej przez greckie Ministerstwo Opieki Społecz-

nej, ustala liczbę 19,751 kobiet, pracujących w fabrykach i zakładach przemysłowych w Grecji, na ogólną liczbę 46,195 robotników. Autor artykułu jest zdania, że gdyby policzyć wszystkich robotników, którzy zajmują się rzemiosłem we własnym domu, to ilość kobiet dorównałaby liczbie mężczyzn, a możeby ją i przewyższyła. Kobiety pracują we wszystkich rodzajach przemysłu, za wyjątkiem jedynie warsztatów kolejowych. Największą ilość kobiet zatrudnia przemysł włókienniczy, mianowicie 74% ogólnej liczby robotników w tej gałęzi przemysłu; dalej idą warsztaty krawieckie — 73%, następnie tytuniowe — 43%. Wydane przez państwo ustawy, wzbraniające pracy małoletnim (poniżej lat 14-u), pozostają na razie bez skutku — około 7% bowiem ogólnej liczby robotnic składa się z dziewczynek pomiędzy 12 a 14 rokiem życia. Płace kobiet są też znacznie niższe, niż płace mężczyzn; najwyższym zarobkiem zdolnej i wykwalifikowanej robotnicy jest suma 20 drachem dziennie, t. j. około 40% tego, co zarabia wykwalifikowany robotnik.

Z. B.

KRONIKA MODY

Paryż, 12 lipca.

(Kor. włas. „Bluszczu.”)

HAFTY, SUKNIE HAFTOWANE i SUKNIE TKANE.

Hafty są bardzo modne. Oddawna już były one w użyciu, lecz nigdy nie rzucono się nie z takim, jak obecnie, zapalem.

Pominę zupełnie materiały haftowane, które kupuje się już gotowe i będę mówiła wyłącznie o haftach ręcznych, które każda z czytelniczek może wykonać sama, bądź, używając w tym celu włóczki (której, przyznać się muszę, ja osobiście nie lubię), bądź bawełny merseryzowanej, dającej — dzięki połyskowi swojemu — bardzo ładne efekty, bądź wreszcie jedwabiu — zależnie od materiału, na jakim haft ma być wykonany i celu, na jaki służyć ma dana suknia.

Bardzo lubiany jest ścieg krzyżkowy, istotnie nader efektowny. Niewątpliwie w szafie każdej, z młodszych zwłaszcza pań, znajduje się suknia z białego płótna, z materiału *éponge* lub z surowego jedwabiu. Może zeszłoroczna zatem wyszła już nieco z mody?... W takim razie łatwo jest odświeżyć ją przez skrócenie nieco w dole spódniczki, przez odrzucenie nienoszonego już dzisiaj paska i zwięzienie — bądź drogą zdjęcia kawałków materiału z szerokości, bądź też zniesienia wszystkich zmarszczek i fałd na bokach...

Wycięcie szyi oraz rękawy (o ile, oczywiście, są) pozostawić można nietknięte. Do zahaftowania sukni użyć można najlepiej bawełny merseryzowanej w kolorach żywych: niebieskim, ponsowym, szmaragdowym i piskowym, mocno różowym i pastelowo żółtym i t. p. Wzory do haftu macie, panie, w Polsce gotowe: wieśniaczki wasze dają wam ich pełno, a wszystkie śliczne w swojej prostocie, zdobiące — przeważnie właśnie ściegiem krzyżkowym — dół szerokich rękawów, wycięcia i ramiączka koszul, bielących się pod barwnym gorszekiem.

Na miejsca, które mają być zahaftowane, należy odpowiedniej wielkości pasy czy kawały kanwy, na których fantazja wasza kierować będzie dowolnie już igielką, rozwesalającą jednostajną białość czy kremowość

materiału, weselącym oczy, haftem różnokolorowym. Wybór motywów i układ ich, odpowiednio rozrzucone na całej sukni, dadzą najlepsze świadectwo bogactwu waszej wyobraźni, indywidualności i dobremu smakowi. Można np. otoczyć pasem haftowanym okrągłe lub owalne wycięcie szyi; odpowiednie odnogi jego spadać będą wzdłuż lewego boku stanika, aż na dół sukni, który, biegnący dalej, deseń może nawet okalać. Albo też trzy pasy nierównej długości, zdobiące przeź sukni, bądź ułożone symetrycznie, np. dwa krótsze po obu bokach dłuższego, bądź też drabinkowato. O ile suknia ma krótkie rękawki, ładnem będzie jej odświeżeniem pokrycie rękawków, a zarazem i wycięcia przy szyi białym batystem, którego brzeg zahaftować można w lekki deseń, przypominający motywy zasadniczego haftu. Albo też: wydłużone trójkąty haftu w dole spódnicy, mniejsze, ale tej samej formy, dokoła wycięcia szyi. Bardzo modne są teraz desenie wydłużone, kanciaste, zastrzone, nic dziwnego więc, że zyskają one orędowniczki w osobach pań, które bezapelacyjnie hołdują królowej modzie.

O ile suknia ma kieszonki lub plisy, można będzie podkreślić je kilkoma ściegami krzyżkowymi. Przedewszystkiem wszakże dwa zasadnicze momenty winnyśmy mieć na względzie: czy dany sposób przybrania sukni podobna nam się i czy nam jest w niej do twarzy? Ten ostatni punkt zwłaszcza jest najważniejszy. Wiele kobiet zapomina o nim, niestety. Mniejsza o to, czy suknia jest nieco szersza lub nieco dłuższa, niż każe władczyni — moda, byleby powstać nasza, w nią przystrojona, zyskiwała na tem. Sztuka ubierania się polega właśnie na umiejętności dobierania strojów t. zw. twarzowych w stosunku do noszącej je osoby. Uważne wpatrzenie się, namysł, zestawianie i *studja* (podkreślam to — *studja*)! najpewniej prowadzą do celu. Trzeba umieć wybierać. Moda obecna tak jest różnolita (jak kobieta), tak elastyczna i nade wszystko tak racjonalna, że ma się wszelką pewność wybierania rzeczy indywidualnie odpowiednich i nie ulegania przy tem zbyt niewolniczo modzie, niespeczenia się dobrowolnego przez noszenie z jej nakazu rzeczy, które nie idą w parze z rodzajem naszej twarzy czy postaci.

Widzę jednak, że odbiegłam zbyt daleko od przedmiotu dzisiejszej mojej pogawędki. Wróć więc do niego.

Istnieje inny ścieg, prostszy, jeszcze łatwiejszy, niż krzyżkowy, dający bądź sam przez się, bądź w połączeniu ze ściegiem płaskim, śliczne kombinacje deseni. Mówię tu o ściegu t. zw. łańcuszkowym. Stosują go zarówno do materiałów skromnych, jak i najkosztowniejszych. Bardzo chętnie jest on używany, bowiem — bardziej od innych — nagina się on do wszelkich kaprysów fantazji. Wszystko można nim wyobrazić: pagodę z dachem falistym, sfinksa egipskiego, lwy azjatyckie — co tylko przez myśl przejdzie... Albo np. na sukni tenisowej zarys zgrabnej rakiety i pilek dalekonośnych, albo kota z zadartym ogonkiem czy pęk wisien ponsowych na fartuszu dziecięcym. Widziałam wczoraj w jednym z wielkich magazynów, specjalnie ubierającym dzieci, sukienkę z *crêpe* de chine'u zielonego koloru wody, sukienkę bardzo skromniutką, mającą za całe przybranie śliczny fryz w dole spódniczki, przedstawiający szeregi młodych kaczków, pluszczących się wesoło w przezroczystej wodzie: kontur zrobiony był ściegiem łańcuszkowym, a płaszczyzny ściegiem płaskim t. zw. płaskim atlasem. Sukienka była czarująca. Pewna jestem, że, tak jak mnie, paliłyby się i wam oczy do niej i miałybyście ochotę kupić ją dla córeczki czy siostrzeniczki. Nie żałujcie jednak niemożności kupienia i zróbcie ją własnymi rękami: będzie napewno tak samo ładna i nieporównanie tańsza. Przekonacie się same, czego można dokonać ściegiem łańcuszkowym, nadającym się do wszystkiego i odpowiednim wszędzie, gdziekolwiek go się stosuje.

Przepiękny jest też haft angielski kolorowym jedwabiem na popelinie, jedwabiu lub cienkiej morze. Jest nieco trudniejszy w robocie, tem większą też sprawia przyjemność, a nade wszystko, więcej daje zadowolenia miłośności własnej pokonanie trudności.

Na gładkiej, organdykowej sukni koloru cytrynowego, przybranej jedynie na bokach drobnymi plisowaniem, różowy haft angielski na rękawach i szeroka podobna wstawa w dole sukni nada całości najskromniejszej charakter bogatego i bardzo wystawnego stroju. Prawdziwa elegancja polega właśnie na tem, aby umieć podnieść wartość toalety dobrze zastosowaniem i odpowiednio dobranym przybraniem, strzegąc się nade wszystko, jak ognia, przeładowania. Należy umiejętnie i subtelnie stosować wszelkie przybrania. Wszystkiego tego można się nauczyć. Trzeba jednak myśleć o tem, chcieć, a nade wszystko umieć zaprawić oko do trafnego spostrzegania...

I znów odbiegłam od przedmiotu.

Właściwy haft wypukły, ów dawny rodzaj atlasu, uprawiany przez nasze prababki (cięższy, ale zarazem bogatszy), stosowany jest obecnie tylko do sukien i okryć strojnych. Sztuka hafciarska dochodzi tutaj do zenitu, stwarzając istne cuda bogactwa i przepychu, tworząc stroje, godne mandarynów chińskich, noszących nieraz na sobie istną fortunę w samych haftach...

Boję się, że tutaj już nie pójdziecie za moją wskazówką i cofniecie się przerażone wobec roboty, wymagającej tak wielkiej umiejętności. W skrytości ducha przynam wam słuszość. O ile też nie zostałyście przez samą naturę obdarzone paluszkami czarodziejki, nie potraficie nadać haftowi ataskowemu niezbędnego wykończenia i nieodzownej subtelności wykonania. Strojna toaleta nie znosi najmniejszego braku, wszystko w niej musi z sobą harmonizować, każdy szczegół musi być w swoim rodzaju doskonały i precyzyjny. Najlepiej też będzie powierzyć wykonanie haftu na bardzo strojnej toalecie hafciarce zawodowej, której rzeczą będzie umiejętnie dobranymi odcieniami kapryśnemi, fantastycznymi arabeskami podnieść strojność takich toalet, jak np.: sukni z jasno-lilowego *crêpe romain*, zarzutki aksamitnej koloru szmaragdowego, opadającej z pleców miękkimi fałdami, sukni balowej koloru różu herbatniej... i tylu, tylu jeszcze innych...

Istnieje inny jeszcze rodzaj haftu, zapomniany i zaniedbany w ciągu długich lat, a obecnie znów bardzo wchodzący w modę, jako wprowadzany przez poszczególnych wielkich krawców paryskich. Większe magazyny mód nie przejęły jeszcze, na szczęście, tej mody, niestety, jednak nastąpi to zbyt rychło. Nie wiem właściwie, czy mam powiedzieć: na szczęście, czy: niestety, bowiem wzamian za kilka elegantek, niezadowolonych z tego, że wszystkie kobiety mogą sobie pozwolić na noszenie takich samych, jak one, sukien, ileż będzie szczęśliwych, że mogą kupić sobie ładne stroje, nie płacąc za nie cen horrendalnych, żądanych przez wielkich krawców!...

Wyobraźcie sobie, panie, płaszcz z ciemniuchnego czarnego sukienka, cały zahaftowany od pasa, aż do dolnego obrębu kwiatami wschodnimi o tysiącu barw i odcieni, od najjaskrawszych, najświeższych, do najdelikatniejszych ściegiem t. zw. drobno-łańcuszkowym (bardzo ściśmym, w którym jeden rząd spaja się nieomal z drugim), wykonanym szydełkiem na tamburku. Haft taki wymaga długich i cierpliwych studiów. A gdybyście miały możność naocznego przyjrzenia się z jaką zrecznością i wprawą prawdziwe te artystki wykonywują swoją pracę, zawołałybyście napewno tak samo, jak ja, zanim jeszcze spróbowałam zabrać się do tej roboty: — „O! nie musi to być wcale trudne!” W rzeczywistości wszakże praca ta tak jest mozolna i tak źle opłacana, że sztuka podobnego haftu zatracą się powoli. Szkoda niepowetowana. Jak w Polsce czynione są teraz usiłowania, mające na celu podtrzymanie ginącej starej hafciarskiej sztuki ludowej, tak samo we Francji należałoby kontynuować dawne piękne tradycje i wskrzesić arcydzieła sztuki hafciarskiej, której tak służył kraj ten po przez wieki.

Stwierdzić też należy pierwsze, rozpoczęte w tym kierunku kroki, których rezultaty korzystne dają się już tu i owdzie spostrzeć.

Najdawniejsze i zarazem najbardziej znane takie próby, które przeistoczyły się w formalną szkołę, obejmującą warsztat prze-

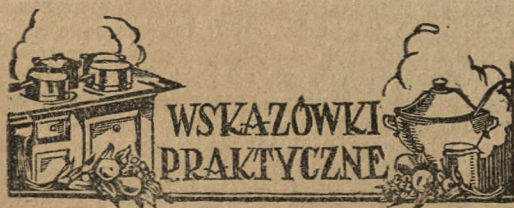
działniano-tkacki, oddział malowania na materiałach i oddział haftów, dokonał Rajmund Duncan. Każdy mieszkaniak Paryża, z bodaj całej Francji, wie, kim jest Rajmund Duncan. Boję się obrazić czytelniczki „Bluszczu” objaśnieniem tego tak powszechnie znanego faktu. Powiem więc tylko, że obok, umiłowani i wiedzy w kierunku socjologii i filozofii — a bodaj w związku z niemi — ma on też wybitne umiłowania i tendencje artystyczne. Jako sztukę uznaje tylko pracę ręczną i, przeświadczony o słuszności swojego poglądu, nie szczędzi trudów na szerzenie go jaknajdalej. Wybrał też dla dopięcia zamierzonego celu najlepszą propagandę: propagandę czynu. Tuniki, draperje, suknie (nie mówiąc już o dywanach), wychodzące z założonych przez niego warsztatów, są znane już i uznane przez sfery najbardziej miarodajne. Niestety, nie są one tanie!

Za jego przykładem pozakładali inni warsztaty tkackie i pracownie haftów, z których przesłiczne suknie w stylu zupełnie współczesnym, modne, a mimo to drgające przysłuszonemi echemi dawnych czasów, noszące na sobie piętno lat minionych, co nadają im wdzięk szczególny oraz cechę prawdziwej elegancji. Dawna technika w połączeniu z dekoracyjnością nowych pomysłów — stanowi rys podstawowy inicjowanej przez owe warsztaty sztuki odradzania i modernizowania zarazem bez obrażania dobrego smaku, drażnienia naszego zmysłu artystycznego. W tym kierunku sukces ogromny odniósł René Cadet. Tka on przesłiczne, zupełnie skromne suknie z pewnego rodzaju mieszaniny konopi z cienką wełną, co nadaje materiałom jego wygląd wieśniaczy i tracący nieco myśkają. Wyobraźcie sobie, panie, np. ogólne tło liljowe. Liście padają wzdłuż całej sukni, rozsypane, jak gdyby przypadkiem (zręczny przypadek) w tonach czerwonych i brunatnych, liście, które zdaleka czynią wrażenie haftowanych lub malowanych, a które w rzeczywistości wetkane są odrzu w materiał. Nie znam nic ponętniejszego nad taką suknię! A dodać należy jeszcze, że niema dwóch sukien jednakowych; co czyni każdą z nich małym dziełem sztuki, które jednak zdolni są ocenić jedynie znawcy, przeciętny zaś pospolitek przejdzie obok nich, nie widząc nawet ich piękna, niezwykłości i artystycznej wartości. Są tam suknie różnych barw, różnych fasonów. Są materiały lekkie, inne znów ciężkie, jedwabne, lniane lub wełniane. Zawsze jednak posiadają one wagę właściwą, jaką powinien mieć każdy piękny materiał, aby mógł opadać harmonijnymi, miękkimi fałdami.

Może te piękne rzeczy, noszone w Paryżu, nadejdą też i do Polski. Pewną jestem z góry powodzenia, jakie będą miały one u kobiet, tak bardzo słynących z dobrego gustu, jak panie — Polki.

Hrabina Annie.

Z oryginału francuskiego, specjalnie nadesłanego dla „Bluszczu,” przełożyła n. b.



KONFITURY

(ciąg dalszy)

Porzeczki czerwone i białe. Chcąc usmażyć wykwintną konfiturę z porzeczek, należy je wydelować, co jest dużą pracą — muszą jednak zwrócić uwagę pań na to, — że drełowanie porzeczek nie niszczy rąk, przeciwnie najbardziej opalone rączki po wydelowaniu kilku funtów porzeczek, ślicznie zbieleją. Na funt wydelowanych porzeczek bierze się dwa i pół funta cukru, smaży na ulepie, jak zwykle biorąc szklanek wody na funt cukru, na wrzący sypać owoce, mieszać raz łyżką, aby równo

BARWNIKI DO DOMOWEGO FARBOWANIA.

ATRAMENTY

„KOŁORYT”

ULTRAMARYNA. PASTA DO OBUWIA.

się zmieszały z ulepie, smażyć bez przerwy na wolnym ogniu, gdy porzeczki się staną przezroczyste, eo dosyć szybko następuje, a syropu krople, nalane na spodek porcelanowy, się zetną, jak galaretka, konfitury są gotowe, dodać jak zwykle benzoesu, dać nieco przestygnać w miedniczkę i letnie jeszcze składać w nieduże słoiki, — powierzchni się uformuje masa zgaretowana dodająca trwałości konfituram. Kto nie chce sobie przyczyniać pracy drełowaniem, może smażyć porzeczki całe, — tak są smażyć najsmaczniejsze angielskie „jane'y”. Cukru się bierze na funt porzeczki, funt i ćwierć do półtora funta, dalej postępuje, jak z porzeczkami drełowanymi.

Porzeczki czarne (smrodynie). Konfitura ta lubiana jest szczególnie w Rosji, jest wybornym dodatkiem do herbaty. Smażenie jej jest niesłychanie łatwe i nieskomplikowane. Owoc się starannie oczyszcza z szypulek i resztek kwiatu, na funt owocu bierze się funt cukru, — na gotujący syrop sypie porzeczki, zagotowuje raz gwałtownie, poczem na wolnym ogniu dosmaża, szumując, jak zwykle. Gdy się syrop przy próbie galaretować zaczyna, dodać zwykłą proporcję benzoesu, przestudzić nawpół w miedniczkę i złożyć letnie jeszcze w słoiki, w których się zwykle nieco powierzchni ścina. Konfitura ta ma ładny ciemno-wiśniowy kolor i jest aromatyczna.

Jeżyny. W niektórych miejscowościach kraju ożynami zwane, są rodzajem czarnej maliny o przyjemnym, kwaskowatym smaku. Na funt owocu bierze się funt i ćwierć cukru dalej smaży, jak porzeczki czarne. Wszelkie ostrożności, zachowywane przy smażeniu malin czerwonych i białych są tu zbędne, gdyż ożyny się nie rozgotowują tak łatwo, jak maliny.

Morele. Należy wybrać równego rozmiaru, raczej niedojrzałe, niż przejrzałe morele, nakłuć je gęsto srebrnym widelcem, wrzucać w wodę, aby nie czerniały. Na funt

owocu bierze się do funta cukru, a z połowy robi ulepie i tym ostudzonym ulepie nalewa ułożone w wazie, osączone z wody morele. Po 24 godzinach ulepie zlać, dodać połowę cukru pozostałego, zagotować, letnio nalać morele, — po 24 godzinach powtórzyć raz jeszcze to samo, poczem na wrzący syrop wrzucić morele, raz zagotować mocno, odstawić na dziesięć minut, smażyć na wolnym ogniu z przerwami, jak wszystkie duże owoce. Gdy morele są przezroczyste, odstawić, dodać zwykłą proporcję benzoesu, wystudzić w miedniczkę lub porcelanowym naczyniu. Konserwować w słojach, jak wszystkie konfitury.

Wiśnie. Wydelowane wiśnie zważyć, na funt owocu brać półtora do dwu funtów cukru — ugotować, jak zwykle ulepie, na funt cukru biorąc szklanek wody, na wrzący sypać wiśnie, smażyć z przerwami, starannie szumować. Roztłuc w moździerzu kilkanaście pestek wyjąć ziarenka, wrzucić do konfitur — dodają one wiśniom aromatu, — smażyć, aż wiśnie się staną przezroczyste, a syrop gęstnieć znacznie. Dodać, jak zwykle, benzoesu, ostudzić i przechowywać w słoikach. Do herbaty, ubierania kuropatw, tortów i t. p. można smażyć wiśnie niedrełowane, postępuje się z niemi zupełnie tak samo, jak z drełowanymi, są również smaczne i aromatyczne, — mają tylko tę wadę, że przy jedzeniu ich należy wypłukać pestki, jak w świeżym owocu.

Salata głabista. Konfitura amatorska, którą podaje tylko dla tego, aby jej w kolekcji nie brakło. Głabie salaty, idące z nasienia obrać z liści, następnie ze skórki, (wybrać na to najgrubsze, mające przynajmniej dwa cale średnicy) pokrajać w trzycalowe kawałki. Na funt salaty — półtora funta cukru, z połowy zrobić ulepie, nalać salate, po 24 godzinach ocedzić, a salate osypać obficie utartym na tarce imbirem, po następnych 24 godzinach dodać do ulepie połowę pozostałego cukru, przegotować i nalać salate — jeszcze raz powtórzyć posypywanie imbirem, poczem smażyć, jak inne konfitury, próbując na spodku, czy ulepie ma dosyć. Gdy salata przezroczysta dodać jak zwykle — benzoesu, ostudzić i składać do słoików wraz z trocinkami pozostałymi i imbirem, — których jednak część przy szumowaniu odejdzie. Ma smak bardzo ostry i dosyć oryginalny.

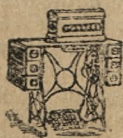
Gruszki. Duże gruszki smaży się obierane i przekrajane na połówki, a nawet bardzo duże na ćwiartki, maleńkie o delikatnej skórce można tylko gęsto ponakłuwać srebrnym widelcem, — czy to obrane czy nakłute wrzucać natychmiast na zimną wodę, aby nie poczerniały. Gruszki przed smażeniem gotuje się w wodzie, nie rozgotowując ich jednak nadto, — wodę tę — zwykle od gruszek bardzo słodką, używa się na ulepie. Gruszki odlane układa się w wazę lub dużą misę, na funt gruszek bierze się funt i ćwierć cukru, gotuje ulepie, jak zwykle przy dużych owocach, z połowy cukru i już przestudzonym zalewa się gruszki, — po 24 godzinach syrop się ocedza i całą operację powtarza, — za trzecim razem gruszki się wkłada w wrzący syrop i smaży się z wszelkimi ostrożnościami, wskazanymi przy morelach. Dla zapachu wkłada się kawałek wanilii lub (kto woli), kilka goździków. Gdy gruszki są przezroczyste, a syrop gęsty, dodaje się na kilo konfitur pastylkę „benzoesu”, rozpuszczonej w łyżce gotowanej wody, konfitury studzi i przechowuje się jak zwykle. Niektórzy gotują gruszki w łupinach i dopiero potem obierają i krajają na części, a to żeby surowe nie czerniały od noża — jest to jednak zbyt duża ostrożność, wrzucone po obraniu w wodę i surowe nie czernieją.

Renklody. Brać ina konfitury nawpół dojrzałe tylko, nakłuwać gęsto srebrnym widelcem, — na funt renklod półtora funta cukru. Z połowy się robi ulepie, chłodnym nalewa renklody, — nazajutrz zcedza ulepie, dodaje cukru, przegotowuje, nalewa letnim owocu, — powtarza się to trzy razy — poczem się smaży renklody zupełnie tak samo, jak morele, zachowując też ostrożności, aby się nie rozgotowały, smażyć z przerwami, gdy przezroczyste, dodając benzoesu i t. d. Ostudzić można tę konfiturę w miedniczkę, a będzie miała ładniejszy, zielony kolor.

Pani Elżbieta



MASZYNY DO SZYCIA



znanej dobroci „KASPRZYCKIEGO”
Tanie — Hurtowo — Detalicznie
RATY.

Skład Fabryczny

THE KASPRZYCKI COMPANY

WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 153

TEL 104-51

Oddział: Częstochowa, Aleja 43.

ZAMAWIAĆ MOŻNA LISTOWNIE W WARSZAWIE.

22

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU

PIG. CHLOROFILOWE
GESSNERA

115

preparat roślinny pobudza
apetyt i wzmacnia organizm.

ŻADNA LOTERJA!!!

Każdy otrzyma duży flakon
wody kolońskiej i ma mo-
żność otrzymania poniżej
podanych nagród.

Cudze chwalicie, swego nie
znacie, sami nie wiecie
co posiadacie!

REKLAMOWA ZAGADKA № 1.

Celem jaknajszerszego zapoznania Szan. Publiczności z wyrobami krajowymi nieustępującymi w niczem fabrykatom zagranicznym, reprezentowanej przez nas i powszechnie znanej firmy „LAKOMA“, Adam Psarski, Towarzystwo Akcyjne w Poznaniu, urządzamy niniejszą reklamę.

Z niżej podanych sylab, odpowiednio złożonych, otrzyma się brzmienie znanej firmy kosmetycznej w Poznaniu:

La — niu — zna — ko — ma — Po —
dam — ne — Psar — cyj — A — wa —
ski — w — stwo — ak — To — rzy —

Każdy, kto nadeśle dobre rozwiązanie powyższej zagadki, dołączając do tego zł. 3.50 (trzy zł. 50 gr.) otrzyma franko przesyłany do domu duży flakon wody kolońskiej wyrobu firmy „LAKOMA“, Adam Psarski Towarzystwo Akcyjne w Poznaniu, pozatem ma możliwość otrzymania niżej wyszczególnionych nagród za dobre rozwiązanie:

- | | |
|--|-------------------|
| 1. SAMOCHÓD NOWOCZESNY, torpedo, fabrykat „PROTOS“, 6 osobowy, z elektrycznym zapędem i oświetleniem | zł. 1 4. 0 0 0, — |
| 2. MIESZKANIE 5 pokojowe w Warszawie, z elektrycznym światłem, łazienką, etc. (trzy-letni kontrakt, dzierżawa zapłacona) | 1 2. 0 0 0. — |
| 3. MIESZKANIE 5 pokojowe w Poznaniu, z elektrycznym światłem, łazienką, etc. (trzy-letni kontrakt, dzierżawa zapłacona) | 1 0. 0 0 0, — |
| 4. SAMOCHÓD NOWY, limuzyna, fabrykat „Mathis“ 4-osobowy | 8. 0 0 0. — |
| 5. WYPRAWĘ ŚLUBNĄ | 5. 0 0 0, — |
| 6. POKÓJ MĘSKI | 3. 0 0 0, — |
| 7. SALONIK DAMSKI | 3. 0 0 0. — |
| 8.—11 Cztery WYJAZDY z 4-ro tygodniowym pobytem, do Zakopanego lub do innego polskiego letniska włącznie biletu II. kl. (tam i z powrotem) z całkowitem utrzymaniem i mieszkaniem w pierwszorzędnym pensjonacie lub hotelu | 4. 0 0 0, — |
| 12.—15. Cztery odbiorcze APARATY RADIO, kompletnie założone | 4. 0 0 0, — |
| 16.—17. Dwa MOTOCYKLE | 5. 5 0 0, — |
| 18.—20. Trzy ROWERY | 1. 5 0 0, — |
| 21.—320. ROZMAITE NAGRODY (każda wartości zł. 100,—) biżuterje, kosmetyki, wyroby skórzane etc.. | 3 0. 0 0 0,— |
| Razem zł. 100.000,— | |

WARUNKI.

1. Rozwiązanie powyższej zagadki należy nadesłać w frankowanej kopercie z dołączeniem zł. 3.50 do 20 sierpnia b. r. pod naszym adresem: „DOM REPREZENTANTÓW JAN TRAWSKI POZNAŃ ul. Gołębia 4a; należność 3.50 zł. można również przekazać na konto czekowe P. K. O. w Poznaniu № 206557, „DOM REPREZENTANTÓW JAN TRAWSKI POZNAŃ ul. Gołębia 4a, wypisując na odcinku blankietu nadawczego rozwiązanie zagadki.
2. Podział nagród nastąpi w przeciągu 2 tygodni po zamknięciu konkursu, przez specjalny komitet i pod ścisłą kontrolą p. radcy Cichowicza, notariusza w Poznaniu, pl. Wolności 18.
3. Termin ostateczny nadsyłania rozwiązań upływa z dniem 20 sierpnia 1924 r., późniejszych rozwiązań nie uwzględnia się.
4. Powyższe nagrody odnoszą się do 200000 uczestników, i wzrosną odpowiednio przy większej liczbie lub też przeciwnie.
5. Uczestniczący uznaje powyższe warunki z wykluczeniem drogi sądowej.

DOM REPREZENTANTÓW
Jan Trawski — Poznań ul. Gołębia № 4a.

Cudze chwalicie, swego nie
znacie, sami nie wiecie
co posiadacie!

ŻADNA LOTERJA!!!

Każdy otrzyma duży flakon
wody kolońskiej i ma mo-
żność otrzymania powyżej
podanych nagród.

Od Wydawnictwa.

Biorąc pod uwagę fakt, że znikoma liczba, bo zaledwie 16 Pań Prenumeratorek nie dosyłało Administracji 50 groszy miesięcznie za arkusz wzorów haftów do kopjowania—ogół zaś Szan. Czytelniczek z zadowoleniem przyjmował tak małe obciążenie materialne wzamian za cenny—jak wspomniano w wielu listach do Redakcji—dodatek do „Bluszczu” postanowiliśmy: **OD 1 b. m. DODAWAĆ DO „BLUSZCZU” ZAMIAST, JAK DOTYCHCZAS JEDNEGO, DWA ARKUSZE WZORÓW MIESIĘCZNIE.**

Od 1 b. m. również prenumerata „Bluszczu” jest jednostajną dla wszystkich Pań Prenumeratorek, bo wszystkim wysyłać będziemy tablicę wzorów i wynosi miesięcznie—łącznie z przesyłką **4 zł.**

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 32

327. Fartuszek dla dziewczynki od lat 7 do 12 z popielatej satyny, objęty granatowym plisą.

328. Fartuszek dla dziewczynki od lat 6 do 9 z czarnej satyny. Boki plisowane.

329. Fartuszek dla dziewczynki od lat 7 do 10 z czarnej satyny, przybrany kolorowym wyszyciem.

330. Fartuszek dla dziewczynki od lat 5 do 8 z granatowej dymki. Kropeczki haftowane ponsowym.

331. Fartuszek dla panienki od lat 10 do 15 z czarnej alpigi.

332. Fartuch dla młodej osoby, z ciemnej satyny, przybrany guziczkami.

333. Fartuszek dla dziewczynki od lat 12 do 15 z satyny w drobny desenik, wykonany fałbanką.

334. Fartuszek dla dziewczynki od lat 8 do 12 z czarnej satyny lub alpigi.

335. Bluzka z gładkiego crêpe marocain. Żabot biały.

336. Sukienka dla dziewczynki od lat 10 do 15 z granatowego szewiotu, wyszyta z sznureczkiem lub sutazem.

337. Fartuszek dla dziewczynki od lat 5 do 8 z granatowej dymki. Wyszycie pomarańczowe.

338. Kostjum z granatowej gabardiny. W spódnicy boki plisowane.

339. Kostjum z bronzowej wełny, kamizelką z paskowego sukienka.

340. Bluzka z białej wełny, przybrana kolorowym haftem, wykonanym grubą włóczką.

341. Fartuszek, zasłaniający całą suknię dla dziewczynki od lat 8 do 14 z granatowej alpigi, przybrany czarną taśmą.

342. Fartuszek dla dorastającej panienki z kolorowej satyny, przybrany ciemniejszą plisą.

343. Fartuszek dla młodej panienki z czarnej satyny, przybrany galonikiem lub taśmą.

344. Kostjum z wełny koloru kreciego. Wyszycie w tym samym tonie.

345. Kostjum z paskowej wełny, haftowany pastelowymi kolorami.

346. Sukienka dla dziewczynki od lat 7 do 10 z granatowej lekkiej wełny. Pasek czarny lakierowany.

347. Sukienka dla dziewczynki od lat 10 do 15 z fiołkowej wełny, przybrana czarną wąską taśmą.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową

WYNOŚI

rocznie 48 zł. — gr.

kwartalnie 12 „ — „

miesięcznie 4 „ — „

Zagranicą:

miesięcznie 8 zł. — gr.

zmiana adresu — „ 30 „

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona 90 zł. — gr.

$\frac{1}{2}$ „ 51 „ 75 „

$\frac{1}{4}$ „ 29 „ 25 „

$\frac{1}{8}$ „ 15 „ 75 „

$\frac{1}{16}$ „ 9 „ — „

$\frac{1}{24}$ „ 6 „ — „

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na $\frac{1}{4}$ część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2,
Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

348. Wzór na narożnik chusteczki. Koronka klockowa.

349. 350. 353. Wzory wstawek. Koronka klockowa.

351. Motyw do wszycia w serwetkę lub bieliznę. Koronka klockowa.

352. Wzór koroneczki. Koronka klockowa.

354. Narożnik serwetki. Koronka klockowa.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien, podanych w dodatku mód, nabywać można w Administracji „Bluszczu”.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III. lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

TABELKA PRZECIĘTNYCH MIAR

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skuteczniać na blankietach czekowych P. K. O.

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ, T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA”—Długa 9 i 1. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK”.

Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40